

Rok XXXII

Nr e-135 (331)

Styczeń 2018

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Kamienne kapliczki słupowe	<i>Witold Komorowski</i>	3
Babie lato	<i>Krzysztof Gdula</i>	6

OJCZYSTE SZLAKI

Szlakiem figurek, figur i aranżacji	<i>Juliusz Wysłouch</i>	9
Kultowa kapliczka nad Łapszańką – dwa oblicza po burzy	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	12
Kraina bibułkowych kwiatów	<i>Tomasz Kowalik</i>	13
Ku pamięci wieszczki Adama	<i>Tomasz Kowalik</i>	15

GLOBTROTER

Adriatycki fiord, który nie jest fiordem... i jego perełka	<i>Mirosław J. Barański</i>	17
Muzeum historyczne w Kijowie	<i>Janusz Fuksa</i>	20

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Symposium Babiogórskie w Krakowie		
i Spotkanie Przedstawicieli Klubów Górskich PTTK	<i>Juliusz Wysłouch</i>	22
Laboranci w Bukowcu	<i>Krzysztof Tęcza</i>	23
Megalityczna Irlandia	<i>Zbigniew Piepiora</i>	25
Na szlakach od tysiąca lat	<i>Tomasz Kowalik</i>	26
Podsumowanie Rajdu na Raty 2017	<i>Krzysztof Tęcza</i>	28
Wystawa „Mapy Gór Izerskich”	<i>Krzysztof Tęcza</i>	30
Wizyta w Alfeld	<i>Krzysztof Tęcza</i>	31

PORADNIK TURYSTY

Pożegnanie siedemdziesiątki	<i>Juliusz Wysłouch</i>	35
-----------------------------------	-------------------------------	----

SYLWETKI NA SZLAKU

Twórca polskiego regionalizmu	<i>Tomasz Kowalik</i>	37
-------------------------------------	-----------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Klasyka krajoznawstwa – pocztówki	<i>Tomasz Kowalik</i>	40
---	-----------------------------	----

Na okładce: Wroclawska katedra. Fot. Hanna Dacko

Kamienne kapliczki słupowe

Sympatycznym, ale też rzadko spotykanym elementem dolnośląskiego krajobrazu są monolityczne kamienne kapliczki słupowe, na które można trafić w zaskakujących nieraz miejscach. Czasem spełniają swoją kultową rolę i wówczas są pobielone, udekorowane sztucznymi kwiatami, a we wnętkach mają współczesne obrazki bądź figurki (np. Brachów, Jaskowa, Pasieczna, Zimnik oraz większość kapliczek stojących w pobliżu kościołów). Inne są opuszczone i trudno je odnaleźć, a będąc w pobliżu łatwo przeoczyć – jak tę pochyloną w zaroślach przy polnej drodze z Lubomierza do Radoniowa, tylko ptakom służącą za gniazdo.

Te kapliczki, jeżeli w ogóle są zaznaczane na mapach, opisuje się – podobnie jak kamienne krzyże – terminem „pokutne” lub „pojednania”, co sugeruje,



Panków: kapliczka przy mostku nad fosą zamkową



Brachów: samotna kapliczka przy drodze do nieistniejącej wsi Żarek zalanej wodami zbiornika Słup na Nysie Szalonej

że powstały w późnym średniowieczu, jako jeden z warunków zawarcia umowy pojednawczej między zabójcą a rodziną ofiary. Obecnie przypuszcza się, że taką genezę mają tylko nieliczne z nich. Np. kapliczka w Pankowie – najstarszy udokumentowany obiekt tego rodzaju – jest kojarzona z zachowaną umową kompozycyjną (zawartą w 1494 r. między zabójcą Lenhartem Schnörbeinem, a rodziną Martena Hygmana), która m.in. zobowiązywała do wystawienia kapliczki w miejscu, w którym dotychczas stoi (sądząc z opisu – *koło mostu*). Po dokładnym oczyszczeniu w ostatnich latach ukazuje swą piaskowcową urodę.

Kaplica z Pankowa może być uznana za typową w tym sensie, że reprezentuje dominującą formę, powielaną aż do XVIII wieku: na smukłym słupie o kwadratowym przekroju (często ze ściętymi krawędziami) znajduje się kamienny „domek” z półkuliście sklepioną niszą pod dwuspadowym „daszkiem”. Kształt taki mają też tzw. latarnie umarłych ustawiane na cmentarzach



**Wrocław: kapliczka Dompniga – na swoim poprzednim miejscu (stan z 1961 r.)
i obecnie, po konserwacji – w kościele Marii Magdaleny**

lub w ich pobliżu, mające upamiętniać konkretne osoby lub ogólnie – zachęcać do modlitwy za zmarłych, a przy okazji oswajając mroczną cmentarną przestrzeń przez zapalany we wnęce kaganek. Prawdopodobnie najstarsza latarnia umarłych stoi przy kościele św. Jadwigi w Szymanowie. Jej fundatorem był Hans von Tschirnhaus, o czym można wnosić z herbu i tekstu wykutego na słupie gotycką minuskułą: *hans czirn*; nad herbem widnieje rok 1498. Innym podobnym przykładem, choć gorzej zachowanym (zatarłe, trudne do odczytania napisy dedykacyjne), są dwie przysadziste latarnie zmarłych rodziny von Diebitsch na cmentarzu przykościelnym w Lubnowie.

Ogólnie biorąc, przy braku materiałów źródłowych trudno dziś określić pierwotną funkcję kapliczki na podstawie jej wyglądu, o czym autorytatywnie piszą Daniel Wojtucki i Stanisław Zobniów, autorzy znakomitej, obszernej, popartej własnymi badaniami i bogato udokumentowanej monografii „Kamienne krzyże na Śląsku, Górnych Łużycach i ziemi kłodzkiej” (wyd. Atut, 2017). W tej samej pracy odnoszą się też do pochodzenia kapliczek wnękowych umieszczanych w ścianach kościołów lub w murach otaczających kościół, stwierdzając, że wiele z nich jest prawdopodobnie gotyckimi sakramentariami przeniesionymi na zewnątrz w czasie jakiejś przebudowy wnętrza. Dobrze przebadanym przykładem jest tu bardzo ładna „kapliczka” przy bramie kościelnej w Modliszowie. Wydaje się, że ta reguła nie jest bezwyjątkowa i część spośród wmurowanych kapliczek, które zachowały przynajmniej fragment podtrzymującego głowicę



**Lubnow: jedna z dwóch latarni zmarłych
na cmentarzu przykościelnym**

trzonu, można uznać za pozostałości kapliczek słupowych (np. Jarosłów, Kostrza, Tyniec nad Ślężą).

Jeżeli przeniesione sakramentaria dość powszechnie są traktowane jako kapliczki, to z drugiej strony – słupy dawnych kapliczek pozbawione wnętrza były (i są) mylnie uważane za pręgierze. Przykładem mogą tu być Śmiałowice i Miłków, gdzie ostatnio ów „pręgierz” wypreparowano z cmentarnego muru, ale mylący opis na tablicy informacyjnej pozostał. Z kolei w Jastrowcu trzon i nisza kapliczki są rozdzielone: słup stoi opuszczony w zaroślach poza murem kościelnym, natomiast górna część jest eksponowana na przykościelnym cmentarzu – być może jest to uhonorowanie zabiegów związanych z jej odzyskaniem po nielegalnym zabraniu do prywatnej kolekcji we Wrocławiu.

Osobny typ stanowią kapliczki bez wnętrza, z pełną głowicą kostkową, na której zwykle znajduje się płaskorzeźba sceny Ukrzyżowania (Morawa, Muzeum Ślężańskie w Sobótce, Wrocław) lub sam krucyfiks (górna część kapliczki z 1545 r. zachowana w Kurowie Wielkim). Szczególnie pięknym przykładem jest tu tzw. kapliczka Dompniga z rzeźbami na wszystkich czterech ściankach głowicy. Została ona ufundowana w 1491 r. po ścięciu na wrocławskim Rynku byłego starosty Heinza Dompniga w lipcu poprzedniego roku. Kapliczka do lat 70. XX w. stała blisko miejsca kaźni – na rogu ulicy Łaciarskiej i pl. Św. Marii Magdaleny, a obecnie, po konserwacji, znajduje się w kaplicy-lapidarium w północnej nawie kościoła Marii Magdaleny.

Wymienione tu najstarsze obiekty pochodzące z ostatniej dekady XV w. są wyjątkowe, jeśli chodzi o datowanie – znakomita większość pozostałych nie pozwala na choćby orientacyjne określenie czasu ich powstania. Kapliczka w Brenniku ma wykuty rok 1521; z XVII w. pochodzą kapliczki w Golejowie (1672), Olesznie Podgórskiej (1648), jedna z trzech znajdujących się w Wojciechowie (1662) i bardzo oryginalna kapliczka w Ponikwie (1645); z 1703 r. jest kapliczka w Pławnej, z 1719 r. – druga kapliczka w Golejowie, a z 1742 r. – druga kapliczka z Wojciechowa. Z kronikarskiego obowiązku trzeba też wspomnieć o trzech kapliczkach XIX-wiecznych: w Hucie, na początku drogi „Wieczność” (1814), w Żukowie (1887) i o potrójnej kapliczce w Męcince (1875). O metryce innych można wnioskować przez analogie dotyczące formy lub ze stanu zachowania zabytku, co zawsze jednak budzi wątpliwości.

W wykazie ponad pięćdziesięciu miejscowości ([do pobrania tutaj](#)), w których są kapliczki słupowe, uszeregowano je wg powiatów, podając dla każdej krótki opis i precyzując położenie przez współrzędne GPS. Zdjęcia i opisy wszystkich kapliczek można znaleźć w książce *Kamienne krzyże i kapliczki na Dolnym Śląsku* (wyd. DWSPiT, 2014), która wraz z dodatkiem „Kamienne krzyże – uzupełnienie 2017” jest dostępna (w formacie PDF) pod adresem <http://kamienne-krzyze.dwspit.pl/index.php/krzyze/>.



Radoniów: wyczelowana górna część kapliczki z zachowaną kratą zamykającą niszę

Witold Komorowski



Babie lato

W piątkowe popołudnie miałem tyle zajęć, że na posiedzenie nad mapą zabrakło czasu, pojechałem więc bez ustalenia trasy i chyba tylko wspomnienie chmurnego początku poprzedniego sezonu zawiodło mnie tam, gdzie rok temu – na Rzańnicką Przełęcz w Górach Kaczawskich.

Punktualnie o szóstej, więc w szary jeszcze przedświt, poszedłem na wschodni stok sąsiedniego wzgórza zobaczyć Jutrzenkę.

Po gwieździstej, pogodnej nocy, niebo na wschodzie nabierało czystych, wyrazistych kolorów. Ilekroć, *nota bene*, przychodzi do opisu kolorów, żałuję swojej niewiedzy w ich ładnym nazywaniu, jak potrafią to robić malarze. Napiszę więc tylko, że najpiękniejsza chwila świtu miała trzy warstwy barw: środkiem rozpostarty seledynowy pas oddzielał niskie pomarańczowe kolory od chłodnych błękitów i granatów górnego nieba.

Barwy intensywniały, ale gdy słońce było już bliskie horyzontu, jasność nieba poczęła je gasić. Gwiazdy już wcześniej znikły, jedynie Wenus długo jeszcze świeciła na niemal dziennym niebie, a roztopiła się w nim dopiero tuż przed wschodem słońca.

Poszedłem tam, gdzie oczy poniosły, a im zachciało się zobaczyć raz jeszcze odkryte, widokowe stoki Ptasiej. Gdy już tam byłem, uznałem, że powinienem znaleźć nowe przejście na drugą stronę masywu i pójść dalej, w stronę Stromca. W ten sposób pozwoli precyzował się plan trasy dużej pętli; gdy później przyjrzałem się mapie, uznałem, że niewiele zabrakło długości mojej drogi do trzydziestu kilometrów. Nogi, nieco odwykłe od tak długich wędrówek, wieczorem powiedziały mi, co myślą o takiej trasie na pierwszy dzień; rano wstawałem z obawą, ale niosły mnie bez protestów, udobruchane dość długim odpoczynkiem nocnym.

Miałem na sobie grubą odzież, świt był zimny, ale popołudnie zrobiło się bardzo ciepłe, więc w miarę upływu godzin plecak pęczniał pakowanym doń ubraniem, aż poczułem swobodę wędrowania w samej koszuli, czując wiatr we włosach i słońce na twarzy.



Stromiec



Spod Stromca w stronę Kop

Pola były już jesienne, puste i zaorane, jednak na drzewach kolory jesieni stanowiły tylko akcenty wśród dominującej jeszcze zieleni. Dęby niewiele się zmieniły, brzozy były w pół drogi ku jesieni, natomiast dla czereśni, sumaków i oczywiście klonów zaczął się festiwal kolorowych impresji. Stojąc w słońcu, tak bajecznie kolorowe klony potrafią czarować swoim wyglądem, natomiast niepozorne sumaki zaskakują przemianą, budzeniem się do przeżycia krótkich chwil jesiennej chwały.

Każdy z nas nosi w sobie obrazy będące symbolami ciepłych i słonecznych dni, obrazy pojawiające się w zimie na myśl o złotych dniach wczesnej jesieni. Dla mnie to żółędzie leżące na gruntowej dróźce; trawa poproszona pierwszymi żółtymi liśćmi brzozy, spomiędzy których wystaje czerwony kapelusz muchomora; żółte rżysko lub lśnienie słońca w gładkich skibach pługiem przewróconej ziemi; wychylona nad leśną drogą gałązka buka z pięknie brązowymi i lśniącymi liśćmi; a ostatnio



Kaczawska droga, w głębi Chrośnickie Kopy

coraz częściej – kwitnąca cykoria podróżnik. Każdy z tych obrazów widziałem w wielu odmianach.

Na łąkach w najlepsze trwa kwitnienie, mnogość kwiatów o tej porze roku zadziwia mnie. Najwięcej widać dzwonek, chyba rozpieczętych, przypominających mi barwą cykorie, mimo tak odmiennych kształtów. Bywało ich tyle, że niebieską plamę wśród zieleni łąk dostrzegałem z daleka. Niżej, przy ziemi, między trawami łąk lub uschniętymi kikutami rżysk, widziałem niezliczone drobne kwitnienie i niepozorne owocowanie maleńkich roślinek; patrząc na nie miałem, że się spieszą, pragną dokończyć dzieła rozsiania nasion przed zimą.

Wiele razy, już z odległości dziesiątków kroków, widywałem grzyby nieodmiennie kojarzące mi się z okrągłą ogrodową altaną: wielkie i wysokie kanie. Było ich tyle, że mógłbym, bez przesady, wrócić z kilkoma wiadrami tych grzybów. Ilekroć spotykałem ich kępy, od nowa analizowałem możliwości zabrania ich ze sobą, ale za każdym razem dochodziłem do wniosku, że nie mam jak, a pamięć, zdrajczyni chcąc mi dokuzyć, przypominała mi wtedy wspaniały smak kań smażonych rok temu przez żonę.

Droga wiodła szczytem Czernickiej Góry, omijanej do tej pory z powodu zalesienia i braku widoków. Wszedłem w las z postanowieniem przecięcia pasma gór i po chwili zobaczyłem niecodzienny widok: dwa ogromne prawdziwki o nogach jak ręka w nadgarstku; niestety, ślimaki były pierwsze, a zostawiły tak niewiele, że już nie odbierałem im resztek posiłku.

Pierwszego zauważonego podgrzybka zostawiłem; miałem przed sobą dwa dni wędrowania, cóż miałbym robić z grzybami? Nieco wyżej, w jednym miejscu znalazłem kilkanaście podgrzybków brunatnych, a niewiele dalej – pierwsze w tym roku prawdziwki i kozaki. Nie wiedziałem, co z nimi zrobić, ale zostawić nie potrafiłem. Chowałem je do obszernych kieszeni wiatrówki, a gdy zabrakło miejsca, kije umieściłem pod pachą, a kolejne grzyby wkładałem nóżkami między palce lewej dłoni. W pewnej chwili próbowałem doczepić kolejny grzyb, ale już nie potrafiłem go utrzymać, więc dzierżąc ostatnie grzyby w drugiej dłoni poszedłem w stronę brzegu lasu zastanawiając się, co zrobię, gdy zobaczę kolejną kępę. Na szczęście więcej nie znalazłem, może dlatego, że podniosłem głowę... Z tej góry jednak też są widoki, co prawda nie panoramiczne, ale między drzewami prześwituje zawsze



Wywołaniec i Leśniak

urokliwy kontrast zielonej doliny i niebieskich Karkonoszy.

Na łące zająłem się plecakiem: upchnąłem mocniej jego zawartość, przejrzałem grzyby, włożyłem je do reklamówki, a tę ostrożnie usadziłem w plecaku, zapiąłem luźniejszymi paskami i poszedłem. W niezłym stanie doniosłem swoje zbiory do samochodu i ułożyłem na podłodze. Wieczorem, po powrocie, okazało się, że tylko kilka najstarszych okazów nie zniosło takiego noszenia.



Kolory jesieni

Droga, jak to z nimi

bywa, rozplynęła się między drzewami, więc – mimo iż bez kłopotów wyszedłem na otwarte przestrzenie po drugiej stronie – przejścia nie zapamiętałem. W te dwa dni wędrowania parę razy próbowałem poznać skróty przez lasy, ale chyba tylko raz udało mi się to na tyle, że przejście mógłbym powtórzyć. Mapy niedokładnie pokazują linie brzegowe lasów, a na zastosowanie pewnego (i z dobrym skutkiem kiedyś zastosowanego) sposobu zapoznania się ze zdjęciami satelitarnymi nie miałem czasu. Jeszcze lepiej byłoby mieć ze sobą GPS z mapą do pieszych wędrówek, ale nie mam i nie kupię, chcąc uniknąć obrastania w cywilizacyjne gadzety – nawet kosztem przedzierania się przez jeżynowe zarośla.

Szedłem wielkimi połaciami pól wprost na Stromca, a góra powolutku, niemal niedostrzegalnie, obracała się i rosła. Początkowo była górką, którą zasłoniłem dłonią na wyciągniętym ramieniu, a gdy byłem u jej podnóża, ona zasłoniła sobą wszystkie inne góry, nawet Śnieżkę. Zmiany widoków, w zależności od miejsca patrzenia bądź przemieszczania się, tak normalne przecież, nieodmiennie zadziwiają mnie. Widzimy świat nadając miejscu naszego patrzenia cechę jego środka. Kiedyś zastanawiałem się, jak wyglądałby świat bez automatycznego i nieuniknionego wyznaczania jego centrum, aż któregoś dnia puknąłem się w czoło: wszak rysunki techniczne elementów właśnie tak są przedstawiane! Pewnie dlatego do ich czytania potrzebna jest pewna wiedza.

W lasach Stromca trochę się zmieniło, więc – niepewny pamiętania dróg na szczyt – po wyjściu na łąki zawróciłem i poszedłem z powrotem: ja mam nie wiedzieć, dokąd prowadzi ten dukt??? Nie znam ich wszystkich ani nie mam ambicji poznania, ale lubię wiedzieć, dokąd zaprowadzi mnie ta czy tamta dróżka.

U podnóża Chrośnickich Kop jak zwykle odwiedziłem źródło bijące ze skalnej ściany, bo źródła, zwłaszcza takie jak to, czyste i skalne, mają magnetyczny urok, a poza tym zwyczajnie chciało mi się pić. Woda ma tam wyborny smak i jest bardzo zimna.

Stałem opodal siodła przełęczy i patrzyłem. Samotne *tête-a-tête* z miejscem i myślami przerwała mi grupa motocyklistów. Zatrzymali się, jeden z nich zdjął kask i przywitał się po... niemiecku. Poczulem niechęć do tych ludzi: zapewne w Niemczech nie pozwala się im niszczyć polnych i leśnych dróg tymi hałaśliwymi maszynami ryjącymi koleiny, więc przyjeżdżają do nas. W moment później przyszła mi do głowy mściwa myśl: gdyby nie wszczęli wojny, do dzisiaj byłoby tutaj Niemcy.

Inną niż zwykle drogą przeciąłem dolinę z wioską i, idąc zakolem po zboczu Babińca, po dwunastu godzinach włączęgi doszedłem do Rzańnickiej Przełęczy i do samochodu.

Krzysztof Gdula

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Szlakiem figurek, figur i aranżacji

Wrocław ma swoje słynne krasnale i to w ilościach hurtowych (ostatnio pojawił się kolejny przy nowym dworcu autobusowym) oraz „wychodzących z chodnika”, ma i Toruń sporo przeróżnych figur mnożących się w niesamowitym postępie. O pomnikach pisał nie będę, bo – pomijając Kopernika i zasłużone postaci historyczne – samych Janów Pawłów II mamy w mieście trzech (nie licząc popiersi w szkołach i instytucjach). Niemało jest pomników, głazów i tablic upamiętniających wydarzenia historyczne. Chcę przedstawić nieco mniej poważne postaci czy też elementy małej architektury zagospodarowania przestrzeni publicznej.

Z dawnych czasów (1914) pochodzi grający na skrzypcach **Flisak Iwo z żabami** stojący obok Ratusza na Rynku Staromiejskim (pierwotnie stał na dziedzińcu Ratusza). Ilustruje słynną akcję wyprowadzania żab, które opanowały miasto. Ponoć Iwo zauważył, że żaby gromadzą się koło niego, gdy gra na skrzypcach. Wykorzystał tę ich słabość i – grając – wyszedł z miasta, a za nim wyszły też żaby. Tak oto flisak-grajek uratował miasto od żabiej plagi. Złośliwi twierdzą, że tak fałszował, iż nawet żaby nie mogły tego znieść i po prostu uciekły.

Współcześnie zaczęło się od rzeźby **Helios** ustawionej na pl. Rapackiego w 400. rocznicę urodzin Kopernika (1973). Bliżej naszych czasów jest niezły pomysł ustawienia figur **Kargula i Pawlaka** (bohaterowie filmowej trylogii: „Sami swoi”, „Nie ma mocnych”, „Kochaj albo rzuć”) przed multipleksem (pl. NOT/Czerwona Droga), który przyjęto bardzo życzliwie. Potem na ul. Przedzamcze pojawił się **Smok** widziany w tym miejscu ponoć w roku 1746 przez Kataharinę Storchin i Johanna Georga Hieronimi. Tamten leciał, dzisiejszy sobie leży. Jego znacznie starszy „kolega” u stóp św. Jerzego widnieje na frontonie jednej z XIX-wiecznych kamienic przy ul. Most Pauliński. Na rogu Rynku Staromiejskiego i ul. Chełmińskiej kucnął sobie **Filus**, **pies profesora Filutka** upamiętniający słynnego rysownika związanego z Toruniem, Zbigniewa Lengrena. Po przeciwnej stronie Rynku, u wylotu ul. Żeglarskiej stanął **Osiol** będący symbolem pohańbienia lekko prowadzących się pań. Wieść niesie, że po ujawnieniu, czym się takowa trudni, sadzano ją tyłem na osle i wyprowadzano z miasta na drugą stronę Wisły, do tzw. małego gaju, czyli na wyspę Kępa Bazarowa (warto wiedzieć, że



Kargul i Pawlak



Smok z ul. Przedzamcze



Filus (pamięci Zbigniewa Lengrena)



Krzyżak na murze obronnym



Przekupka na Rynku Nowomiejskim

wiślane wyspy nazywane są „kępami”). W wielu miejscach na murach obronnych i na parapetach kamienicy można spotkać **krzyżackich rycerzy, mieszczan i mieszczki** oraz inne figurki, których jest na Starówce kilkadziesiąt. Stosunkowo niedawno (2011) na Rynku Nowomiejskim przysiadła **Przekupka** (**Gęsiarka** będąca jednym z symboli Getynki i nawiązująca do kontaktów Torunia z tym miastem), a u wylotu Małych Garbar do Królowej Jadwigi stanęła **Piernikarka** zwana czasem, z racji koloru, Fioną (tą z filmu „Shrek”). Odbiegająca od pozostałych „pomniczków” jest tzw. aranżacja upamiętniająca film „Prawo i pięść”, którego scenę stanowi toruńska Starówka udająca miasto na Ziemiach Odzyskanych. Jest to **Wózek osadników**. Jak pamiętamy z filmu, kilka kobiet ciągnie przez miasto telepiący się wózek z dobytkiem – tenże wózek stoi na rogu Rynku Nowomiejskiego. Toruń ma dwa rynki: Staromiejski i Nowomiejski, ponieważ składał się z dwóch miast. O każdej pełnej godzinie pozytywka gra słynną melodię „Nim wstanie dzień” (Komeda/Osiecka/Fetting) z tego filmu. Niemal wszystkie figurki, pomniczki i aranżacje są obiektem działań wandalów, którzy nie przepuszczają niczemu, co ma wartość w skupie złomu. Bywało, że Przekupce kradziono upadające jajko, kilka razy skradziono smyczek Flisakowi, latem tego roku Smok stracił lewe skrzydełko, które zostało mu niedawno przywrócone. O dużym szczęściu może mówić **blaszany kot** stojący na dachu kamienicy przy Rynku Staromiejskim 8. Raczej nie dosięgną go chuligani. Gdy jego pan, niejaki Józek, poszedł na wojnę, kot z dachu wypatrywał jego powrotu, ale on nie wracał, nie wracał... Któregoś gorącego dnia kot przylepił się do rozgrzanej smoły i już tak został. Tyle legenda.



Piernikarka (Fiona)



Wózek osadników z filmu „Prawo i pięść”

Nie sposób pominąć witrynę **baru „Miś”** (pierniarnia „Pod blaszanym kotem”) urządzonego na wzór



Blaszany kot



Koga na dziedzińcu Ratusza



Pręgieryz – Osioł

taniego punktu gastronomicznego z tzw. minionej epoki. Centralnym elementem jest miś wzorowany na tym z filmu Barei. Największy obiekt stanowi **Planetoida 12999 Toruń** ustawiona na pl. Rapackiego (mało fotogeniczna). Jest to spory kawał metalu niedający się wyrwać z podłoża. Prawdziwą planetoidę odkrył Edward Bowell w 1981 roku i zaproponował taką nazwę w związku z zasługami Kopernika (Torunia) dla nauki. Wspomnę jeszcze o **minie morskiej** ustawionej na Skwerze Oficerskiej Szkoły Marynarki Wojennej przed Bramą Klasztorną od strony Wisły. To nie żart. Ta szkoła mieściła się w Toruniu od roku 1921 do 1938 w tzw. koszarach racławickich (obecny hotel Bulwar). To chyba jedyna na świecie szkoła morska oddalona od morza o 200 km. Znacznie większym niż mina obiektem związanym z tradycjami morskimi Torunia jest **replika kogi**, statku handlowego powszechnie używanego w późnym średniowieczu. Dziś stoi na dziedzińcu Ratusza. Ekspozycja związana jest z Rokiem Rzeki Wisły. Spacerując po Starówce turysta zauważy pod nogami **herby miast hanzeatyckich** (ul. Szeroka i Królowej Jadwigi), **Aleję Gmerków** (znaków firmowych toruńskich kupców i rzemieślników – ul. Żeglarska) i **Piernikową Aleję Gwiazd** upamiętniającą znane i zasłużone osoby związane wspólnie z Toruniem (przed Dworem Artusa na Rynku Staromiejskim). Warto im się przyjrzeć. Nie byłbym uczciwy (należę do pokolenia „republikańskiego”), gdybym nie zwrócił uwagi na skromny, ale ważny uliczny drobiazg. Otóż plac przed Centrum Kulturalno-Kongresowym Jordanki nosi imię Grzegorza Ciechowskiego (Republika, Obywatel GC), którego pamięć jest żywa i kultywowana w Toruniu. Niezależnie od zwykłej, urzędowej, ulicznej tabliczki, na skraju placu ustawiono „pomniczek” stylizowany na graficzny symbol Republiki, białe i czarne pasy z napisem *Plac im. Grzegorza Ciechowskiego*.

Zapewne lista figurek i innych obiektów będzie się wydłużała, bo taki jest w Toruniu trend. Niektóre rzeczywiście warte są obejrzenia i – choć nie wszystkie są dziełami sztuki – urozmaicają przestrzeń. Są też obiekty tandetne lub budzące niesmaczne skojarzenia, albo ideologicznie dyskusyjne. Pozwolę sobie je przemilczeć, by nie wzniecać niezdrowych emocji. Ciekawym proponuję spacer po mieście z zachowaniem lekko krytycznego spojrzenia na owe figurki, figury, pomniczki i aranżacje. Granica między ozdabianiem ulic a zagracaniem może się okazać mało zauważalna.

Juliusz Wystouch



Mina morska przed Bramą Klasztorną



Pamięci Grzegorza Ciechowskiego

Kultowa kapliczka nad Łapszanką – dwa oblicza po burzy

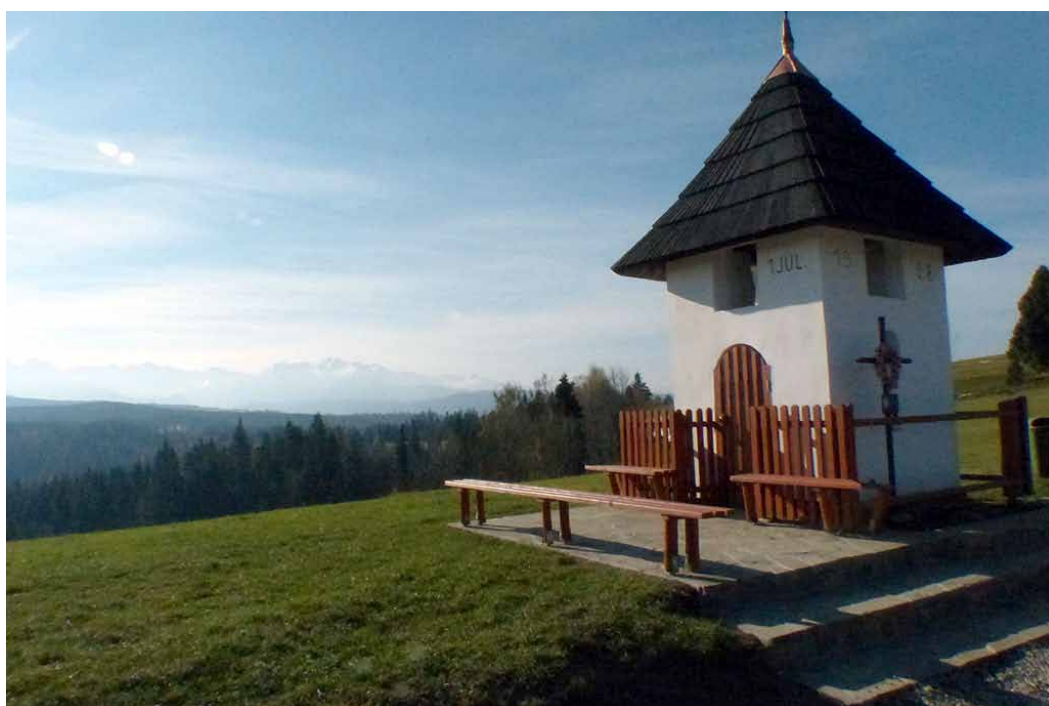
W kapliczkę nad Łapszanką (943 m n.p.m.) – podczas burzy 23 maja 2017 r. – skutecznie uderzył piorun. Na całe szczęście, sprzętające jej wnętrze gospodynie z łapszańskiego przysiółka Wyżni Koniec pół godziny wcześniej opuściły kapliczkę i nie doszło do tragedii podobnej do tej sprzed pięćdziesięciu lat. Wówczas to, 17 lipca 1967 r., dzwoniący w kapliczce – ostrzegający przed nadciągającą burzą – mieszkaniec tegoż przysiółka 33-letni Franciszek Kapołka zginął na miejscu porażony piorunem.



Kapliczka po przejściu burzy

Piorun dokonał zniszczenia w gontowym pokryciu dachu i unicestwił jeden z obrazów, a drugi uszkodził. Mieszkańcy natychmiast prowizorycznie zabezpieczyli dach papą, by deszcz nie pogłębił straty. Wizerunkowa kapliczka, nie tylko dla Łapszanki, ale także dla całej gminy łapszańskiej, wymagała szybkiej naprawy, co zapowiedział wójt gminy Jakub Jamróz, który wraz z Beatą Pietruś-Rak z Referatu Inwestycji i Rozwoju wizytowali obiekt i nacalnie oceniali zniszczenia.

Kapliczka znajdująca się na Przełęczy nad Łapszanką, na rozdrożu dróg do Łapsz Wyżnych, przysiółka Grocholów Potok w Rzepiskach i Osturni po słowackiej stronie, jest jednym z najbardziej znanych miejsc całej gminy łapszańskiej, często odwiedzanym przez turystów z powodu rozpościerających się stąd widoków, szczególnie na Tatry Bielskie, ale także Tatry Wysokie i Żamagurze Spiskie.



Kapliczka po renowacji, w oddali panorama Tatr

Ufundowana została przez mieszkańców Łapszanki zwanych

Górzanami 1 lipca 1928 r., a dzwoniąca sygnaturka miała ostrzegać gospodarzy przed nadchodzącą burzą. Dla jednego z dzwoniących w jej historii, jak już było powiedziane, skończyło się to tragicznie.

Główny obraz znajdujący się we wnętrzu kapliczki, przedstawiający wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej (namalowany przez dr. Mieczysława Jelenińskiego z Warszawy), umieszczony został w kapliczce w 2000 roku.

Każdego roku 26 sierpnia, w uroczystość Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej, obok kapliczki odprawiana jest msza, po której to Górzanie zapraszają Dolan na gościnę.

Kilka miesięcy później, po konferencji w Sromowcach Niżnych, 6 listopada 2017 r. wybrałem się do Rzepisk na Przełęcz nad Łapszanką. Już z daleka kapliczka emanowała białością ścian, tchnęła świeżością. Została odnowiona, wymalowana, miała nowy gontowy dach, otoczenie wokół uporządkowano dodając nowe ławeczki, ogrodzenie, a na dachu – piorunochron. Jedynie w środku stary, zniszczony od pioruna obraz z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej przykryty został mniejszym, również z wizerunkiem Matki Boskiej, być może tymczasowo wstawionym.

Wójt Jakub Jamróz obiecał renowację i słowa dotrzymał. Dziękujemy, Panie Wójcie!



Wnętrze kapliczki po renowacji

Ryszard M. Remiszewski

Kraina bibułkowych kwiatów

Z Pałuk do Kujaw, Wielkopolski i Krajny jest blisko, przysłowiowy „rzut beretem”. To region historyczny, bogaty w pamiątki – liczne dwory, zamki, grodziska. Jako siedliska ludzkie ta kraina znana jest od co najmniej 10 tys. lat i to przed naszą erą. Mało kto nie ma pojęcia, że właśnie na Pałukach znaleziono starodawny Biskupin. Dziś to jeden z największych i najbogatszych w Polsce i Europie rezerwatów archeologicznych.

Największe pałuckie miasta to Wągrowiec, Żnin, Kcynia i Szubin. Każde jest bardzo ważnym lokalnym ośrodkiem tradycji, barwnego folkloru i kultury ludowej. Nazwa regionu bierze swój początek już w XIV stuleciu od rycerskiego rodu Pałuków. Rodowity pałuczanie, na pytanie skąd się wywodzą, odpowiadają czasami: *Jo jest Pałuka*. Wśród rzetelnie uprawianych pałuckich pól, nad jeziorami lub pośród niewysokich wzniesień stoją ruiny budowli z kamienia polnego albo całkiem jeszcze dobrze zachowane zamki (jak ten w Gołańczy) czy też już tylko resztki kamiennych murów (jak te trwające w Wenecji).

Do klasycznych zabytków, siedzib pałuckich rodów ziemiańskich, które pełnią ciągle pożyteczną rolę muzeów wewnątrz lub ośrodków kultury, należy kilkanaście zachowanych w dobrym stanie pałaców i dworów. Najbardziej okazałe są pałace w Lubostroniu, Grylewie, Srebrnej Górze; dwory w Grochowiskach Szlacheckich, Grocholinie, otoczone często zabytkowymi bujnymi parkami, jak kompleks w Sielcu, uznawany za najbogatszy tego rodzaju na Pałukach. W wielu wsiach zachowały się zabytki tradycyjnego budownictwa chłopskiego, a w Muzeum Kultury Ludowej w Osieku zebrano liczne tego przykłady, jak np. dom podcieniowy, zagrody z drewnianymi domami mieszkalnymi i gospodarczymi, wiatrak z klasycznymi śmigłami. Nadal istnieją na Pałukach, ale niestety są coraz mniej liczne, młyny wiatrowe, czyli wiatraki kilku typów. Są do podziwiania w Osieku, Chojnie, Żelicach, a tzw. „holender” (tj. typ wiatraka obrotowego z masywnym, murowanym korpusem) zachował się w Bracholinie.

W pałacach, dworach, chałupach chłopskich, w kolekcjach muzealnych zachowano bogato wyposażone i ozdobiane wnętrza. Dają one pojęcie współczesnym, jak było na wsi kiedyś. Przypominają dawny styl życia, twórczość i zajęcia codzienne mieszkańców ubogich i bogatych. Do najbardziej popularnych przedmiotów należą sprzęty powszechnego użytku, ale także ozdoby (wytwarzane do dnia dzisiejszego z różnych okazji) – np. bibułkowe pęki kwiatów (głównie czerwonych i białych róż, a często astrów, lilii i dali), tzw. pajaki

zawieszane pod powałą, plecione bogato ze słomy i bibułowych kwiatów, ozdoby wieńców dożynkowych czy figur i krzyży przydrożnych.

Charakterystyczne dla Pałuk są halki, bluzki, koszule i fartuchy kobiece ozdabiane koronkami i haftami – białymi lub kolorowymi (podobnymi do kaszubskich), domowe i kościelne obrusy, sakralne i świeckie rzeźby w drewnie, zazwyczaj barwnie malowane. Charakterystyczny jest strój ludowy, zwłaszcza kobiecy, który wyróżnia się dzięki bogatym koronkowym czepcom i żabotom. W stroju męskim typowo pałuckie są stożkowane, czarne, filcowe kapelusze przybierane pękami wspomnianych papierowych kwiatów.

Bogate i liczne są budowle sakralne, kościoły drewniane zdobne w malowidła ścienne, obrazy, rzeźby, sprzęty liturgiczne, ołtarze, a także kościoły o konstrukcji szachulcowej, czyli z tzw. muru pruskiego wypełnionego wypalonymi ceglami. Do najbardziej okazałych zaliczane są kościoły drewniane w Tarnowie Pałuckim, Gąsawie, Brzyskorzystwi, Chojnie oraz murowana masywna świątynia w Łęknie i mniejszy kościół w Chomiąży Szlacheckiej.

Krajinę pałucką obmywają wody Noteci, Tymienicy, Welny, liczne tutaj są też jeziora. Na północy nad Notecią leży Nakło, miejscowość rodzinna Rafała Blechacza, (urodzonego w 1985 r.), zwycięzcy XV Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina w 2005 roku. Na zachodzie mamy Margonin z Muzeum Hymnu Polskiego i dawnym mieszkaniem Józefa Wybickiego. Na wschodnie jest Żnin, miejsce urodzenia braci Jana i Jędrzeja Śniadeckich, wybitnych uczonych, sławny dzięki Muzeum Ziemi Pałuckiej i kolekcji kolejki wąskotorowej; Wenecja z resztkami zamku; Gąsawa z drewnianym kościołem z XVII w. oraz wspomniany wcześniej starożytny Biskupin i Lubostroń z pałacem.

W posiadaniu Żnińskiej Kolei Powiatowej, której początki sięgają 1894 r. jest dziś jedyny na świecie, małeńki w porównaniu z maszynami trakcji szerokotorowej, poruszający się po torach o szerokości tylko 600 mm parowóz typu Px38 „Leon”. Mało brakowało do zupełnej likwidacji tej cennej dla naszych tradycji kolejarskich i technicznych kolejki. W 1972 r. powstało w Wenecji Muzeum Kolei Wąskotorowej jako Oddział Muzeum Ziemi Pałuckiej w Żninie. Tak zaczęła się jej wielka popularność jako atrakcji technicznej i turystycznej. Obsługuje trasę Żnin – Wenecja – Biskupin – Gąsawa i obecnie działa jako *Żnińska Kolej Powiatowa*.

Wędrując na zachód trafimy do dobrze zachowanego zamku w Gołańczy, a zmierzając na wschód – do Wapna, gdzie dawniej były bogate (dziś nieczynne) kopalnie, natomiast obecnie jest muzeum poświęcone górnictwu solnemu i wapiennemu. Jakby tego było mało, to warto jeszcze odwiedzić Kcynię, miasto na wzgórzu powstałe w XIII w., mało znane jako miejsce urodzenia Jana Czochrańskiego, wynalazcy mikroprocesorów stosowanych obecnie w wielu rodzajach produkcji. Na południowym krańcu Pałuk nie wolno pominąć Wągrowca – stolicy powiatu położonej nad trzema jeziorami i tyłuż rzekami, siedziby Muzeum Regionalnego z bogatymi zbiorami. To pocysterskie miasto i rodzinna miejscowość wielu wybitnych osób – tu urodził się sławny jezuita Jakub Wujek, który był pierwszym tłumaczem na język polski Pisma Świętego (wydanego w 1599 r.); stąd pochodzi Marek Borowski (urodzony w 1946 r.), lewicowy działacz polityczny, dawniej wiceminister handlu, wice-marszałek Sejmu i wicepremier rządu, a obecnie senator. Wągrowiec to jeden z ważniejszych ośrodków i jakby oficjalna stolica kultury ludowej Pałuk. Do szeroko znanych zaliczany jest cykl imprez folklorystycznych, pokazów twórczości rzeźbiarzy, jarmarków sztuki ludowej „Lato na Pałukach”, z bardzo obfitym kalendarzem wydarzeń. To miasto ma też bogate tradycje sportowe i jest ośrodkiem przygotowań do ważnych zawodów międzynarodowych.



Muzeum Ziemi Pałuckiej w Żninie

Tomasz Kowalik

PS. Szanownym Czytelnikom-Krajoznawcom przypominam, że Pałuki były na szlaku XV Forum Publicystów Krajoznawczych PTTK (17–20 września 2015 r.), czyli tradycyjnej imprezy Wielkopolskiego Klubu Publicystów Krajoznawczych, o której pisałem na łamach „Na Szlaku” w numerze e-109 (305) – tekst „Ostatni zajazd na Wielkopolsce” (zatem niniejszy może być uznawany za jego ciąg dalszy).

Ku pamięci wieszczą Adama

Słowo „prawie” czasem oznacza dużą różnicę, jednak w tym przypadku różnica jest bardzo mała. Stulecie urodzin Adama Bernarda Mickiewicza 24 grudnia 1798 r., wielkiego poety, trybuna ludu (jak nazywano go ówczesnie z powodu działalności publicznej) obwołanego wieszczem narodowym, upamiętniono w trzech dawnych polskich stolicach kraju pod zaborami wzniesieniem aż siedmiu pomników. Pierwsze postawiono prawie równocześnie – w galicyjskim Krakowie 16 czerwca 1898 r., a w centrum „przywiślańskiej” kongresowej Warszawy – 24 grudnia 1898 r. W 2018 r. minie 120 lat od tych uroczystości i 220 lat od urodzin wieszczą. W trzech zaborach czas nie wykreślił z ludzkiej pamięci autora „Pana Tadeusza” i wielu innych wspaniałych dzieł.

Pomnik warszawski przy Trakcie Królewskim, czyli Krakowskim Przedmieściu, jest dziełem Cypriana Godebskiego – rzeźbiarza (którego nie należy mylić z noszącym to samo imię jego dziadkiem, poetą, pułkownikiem, legionistą, bohaterem bitwy pod Raszynem w 1809 r.). Natomiast dzieło trwające na kolumnie przed Sukiennicami i kościołem Mariackim na Rynku w Krakowie stworzył Teodor Rygier, wybitny rzeźbiarz i medalier. Wypada wspomnieć, że Adam Mickiewicz nigdy nie był ani w Warszawie, ani w Krakowie (jeśli ktoś ma dowody, że jednak odwiedził obydwie miasta nad Wisłą – proszę o informację). Wiadomo, że zbiórka pieniędzy na krakowski pomnik trwała 10 lat. Co kilka lub czasem kilkanaście lat wielkim wydarzeniem jest... mycie spizowej postaci, po krakowsku pieśczośliwie zwanej po prostu „Adasiem”, z odchodów krakowskich gołębi, lekceważących to dzieło sztuki i pamiątkę narodową. Obydwa pomniki to dzieła w swojej kategorii znakomite, według dzisiejszych pojęć „kultowe”, a ich otoczenie także ma wielkie walory historyczne i artystyczne.

Warszawska uroczystość odsłonięcia pomnika odbyła się bez przemówień, pod nadzorem policji i wojska, a publiczność miała dostęp w pobliże tylko z zaproszeniami i biletami. Do wybitnych dzieł należy ogrodzenie w formie żelaznej kraty z licznymi motywami roślinnymi, zaprojektowane przez Zenona Chrzanowskiego, a wykute w warsztacie warszawskiej firmy kowalskiej H. Zielezińskiego. Obowiązującą w czasie zaborów nazwę umiejscowienia pomnika – Skwer Konstanyński – w 1916 r. zmieniono na skwer noszący imię autora „Dziadów”.

Obchody stulecia urodzin Mickiewicza i odsłonięcie pomnika na krakowskim Rynku Wyspiański uświetnił tworząc dekorację w Teatrze Miejskim, który wystawił dwie sceny „Dziadów”. Wykonano również kompozycje muzyczne do utworów wieszczą. Pomnik krakowski jest punktem orientacyjnym. Wiele pokoleń krakowian ma go w swoich życiorysach jako punkt spotkań ze znajomymi i kochanymi. Szczególnymi uczuciami darzą go krakowskie kwiaciarki z Rynku. Jest zwyczajowym miejscem wielu tradycyjnych obchodów i obowiązkowym miejscem pamiątkowego fotografowania wycieczek. Miał burzliwe dzieje, w „stolicy” Generalnej Guberni w sierpniu 1940 r. został zburzony przez okupantów. Figurę wieszczą w 1946 r. znaleziono na złomowisku aż w Hamburgu, a w listopadzie 1955 r. (w setną rocznicę śmierci A. Mickiewicza) popularny „Adaś” wrócił na swoje miejsce. Postument ozdabiają alegorie Ojczyzna, Męstwo, Nauka i Poezja, i napis na cokole: *Adamowi Mickiewiczowi Naród*.

Do cennych pamiątek należy pomnik Adama Mickiewicza (po litewsku: Adomas Mickevicius) w Wilnie,



Pomnik Adomasa Mickeviciusa w Wilnie

symbol jego ścisłego związku z tym miastem i Litwą. Znajdziemy go przed kościołem św. Anny. Wszak w Zasiu lub Nowogródku poeta przyszedł na świat w 1798 r., a akcja „Dziadów” wpisana jest w wileńskie Stare Miasto – serce stolicy Litwy. Znamienne są też słowa rozpoczynające „Pana Tadeusza” (*Litwo! ojczyzn moja!*) i kończące polski narodowy poemat. Pomnik wileński ma burzliwą i długą historię. W 1925 r. ogłoszono konkurs, ale wydarzenia polityczne zahamowały całe przedsięwzięcie, choć zgłoszono 67 projektów. Zwycięski projekt autorstwa Stanisława Szukalskiego nie zyskał uznania. Ogłoszono następny konkurs, wygrany przez wybitnego rzeźbiarza Henryka Kunę, którego projekt też nie został zrealizowany. A potem nastąpiła II wojna światowa i dopiero 18 kwietnia 1948 r. odsłonięto monument autorstwa Gediminas Jokubonisa. Przy nim są zachowane granitowe płaskorzeźby ze scenami z „Dziadów” – części niezrealizowanego pomnika H. Kuny.

Bodajże najbardziej różnorodną historię mają pomniki Adama Mickiewicza w Poznaniu – trzeciej metropolii części naszego kraju będącej pod zaborem pruskim. Władze, pomimo oczywistych związków poety z Wielkopolską w czasie powstania listopadowego, nie zgadzały się na pomnik wieszcz. W Wielkopolsce pamięć o nim jest trwała i opiera się na ważnych wydarzeniach z czasu powstania listopadowego w 1831 r. Zgodę władz pruskich na pomnik uzyskano dopiero w 1858 r., a jego odsłonięcie odbyło się uroczysto 7 maja 1859 roku. Tak powstał pierwszy pomnik Adama Mickiewicza w trzecim zaborze. Jednak materiał figury rodził obawy o jej trwałość. Dlatego w 1903 r. pomnik odlano z brązu i z ogrodu kościoła św. Marcina przeniesiono go w 1904 r. na dziedziniec Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, gdzie trwał do 1939 r., kiedy to został zniszczony przez hitlerowców.

Kolejne starania o odnowienie pomnika rozpoczęto w 1955 r. w związku ze stuleciem śmierci Mickiewicza. Nowy, znacznie bardziej okazały pomnik zaprojektowali Bazyli Wojtowicz i Czesław Kaliszan. Odsłonięto go w 1960 r. na placu im. Mickiewicza w centrum miasta. Jest on ważnym punktem orientacyjnym na mapie krajoznawczej miasta. Niemal równocześnie trwały starania o odbudowanie wspomnianego pierwszego w Polsce pomnika wieszcz z dziedzińca PTPN. Charakterystyczną figurę odtworzoną ze spiżu przez Józefa Pietruka odsłonięto w 1989 r. W Wielkopolsce są jeszcze inne, mało znane pomniki Mickiewicza. Jeden stanął w 1831 r. w Śmiełowie, na pamiątkę jego pobytu w tej miejscowości. Po zniszczeniu tego skromnego monumentu w 1940 r., kolejny odsłonięto dopiero w 1960 r. Opodal Śmiełowa, do polnego głazu narzutowego przymocowano spiżowy medalion upamiętniający Mickiewicza.

Drugi w Galicji, po krakowskim, pomnik wieszcz, często nazywany Kolumną Mickiewicza, zaprojektowany przez Antoniego Popiela, odsłonięto 30 października 1904 r. we Lwowie. Wydarzenie to poprzedziły starania obywatelskiego komitetu budowy i konkurs w latach 1897–1898. Figura wieszcz znajduje się u stóp 21-metrowej kolumny na Placu Mariackim. Pomimo wielu wydarzeń, w ciągu minionych lat pomnik ten wyszedł z burz politycznych i dwóch wojen światowych bez uszczerbku i stoi cały czas w tym samym miejscu. Oczywiście, jak wszystkie pomniki Mickiewicza, cieszy się duża popularnością wśród mieszkańców Lwowa i odwiedzających to miasto.

Należałoby przypomnieć, że kolejne galicyjskie, królewskie i wielkopolskie pomniki Adama Mickiewicza wznoszone w polskich miastach pod zaborami, poprzedza urządzenie krypty grobowej w podziemiach katedry na Wawelu. To sławne miejsce wiecznego spoczynku wybitnych Polaków urządzono dopiero w 1890 r. Spoczywały w nim już szczątki księcia Józefa Poniatowskiego i naczelnika Tadeusza Kościuszki (serce naczelnika w 1927 r. przeniesiono w urnie do Zamku Królewskiego w Warszawie). Adam Mickiewicz spoczął na Wawelu 4 lipca 1890 r. w sarkofagu zaprojektowanym przez Sławomira Odrzywolskiego, konserwatora zabytków wawelskich. Po żenującym sprzeciwie władz kościelnych pochowano tam w 1927 r. również Juliusza Słowackiego. W ten sposób powstał polski Panteon, czy też mauzoleum wybitnych twórców polskiej kultury z okresu romantyzmu, czasu niewoli narodowej i nieistniejącego państwa polskiego. Jest to Krypta Wieszczów Narodowych, która kryje także szczątki Fryderyka Chopina i Cypriana Kamila Norwida.

Do najbardziej znanych pomników Adama Mickiewicza poza Polską zalicza się kolumnę z figurą na szczycie, ukazującą poetę jako pielgrzyma. Jest to dzieło Antoine’a Bourdelle’a odsłonięte w Paryżu w 131 lat od urodzin wielkiego Polaka. Stało się to 29 kwietnia 1929 r. na Placu d’Alma. Później przeniesiono ten pomnik do parku przy ciągu spacerowym Cours Albert równoległym do nurtu Sekwany, w centralnej części stolicy Francji.

Nie sposób podać dokładną liczbę ulic czy szkół noszących imię Mickiewicza. Do najbardziej popularnych postaci, których imiona nadaje się ulicom czy szkołom należą również Kościuszko, Piłsudski, a ostatnio św. Jan Paweł II. Ile ich jest? – to zagadka do rozwiązania przez krajoznawców, przewodników i autorów przewodników, z cyklu problemów – określając to naukowo – toponomastycznych.

Tomasz Kowalik

Adriatycki fiord, który nie jest fiordem... i jego perełka

Czarnogóra to teraz modny kierunek wakacyjny. Jest osiągalna z Polski samochodem, a i samolotem można się dostać zarówno do jej stolicy – Podgoricy (połączenie LOT-u z Warszawy zainaugurowano w maju 2017 roku), jak i do niedalekiego chorwackiego Splitu. Większość rodaków wybiera ciepły Adriatyk i miłe wylegiwanie się na słonecznych plażach. Inni koncentrują się na poznawaniu historii kraju i jego zabytków, zaś najmniej liczni „twardziele” zapuszczają się we wciąż dzikie i mało znane góry, zajmujące zresztą ogromną większość kraju. Tym drugim (od zabytków) polecam na początek Zatokę Kotorską w północnej części czarnogórskiego wybrzeża, tuż przy granicy z Chorwacją.

Cała zatoka jest otoczona górami należącymi do nadmorskiego pasa Gór Dynarskich – od północnego zachodu grzbietami masywu Orjen, zaś od południowego wschodu stokami masywu Lovćen. Najwyższe szczyty Orjenu przekraczają 1800 m n.p.m. (Zubački kabao, 1894 m), zaś Lovćena zbliżają się do tej wysokości (Štirovnik, 1749 m). W powszechnym użyciu jest nazwa Kotorska Boka (z włoskiego *bocca* = usta). Tu trzeba od razu sprostować dwie nieścisłości funkcjonujące w przewodnikach. Po pierwsze, Zatoka Kotorska nie jest fiordem, gdyż fiordy są zatopionymi przez morze dolinami polodowcowymi. I chociaż okoliczne góry były w czasie ostatniej epoki lodowej (Würm) pokryte lodowcami, a linia wiecznego śniegu przebiegała na wysokości ok. 1500 m n.p.m., tu mamy do czynienia ze starą doliną rzeczną zalaną wodami morskimi, gdy poziom Adriatyku znacząco się podniósł. A po drugie – niedorzecznością jest twierdzenie, jakoby nazwę „Boka” nadano zatoce dlatego, że oglądana z lotu ptaka przypomina usta. Nazwa ta funkcjonuje bowiem od dawna – a przynajmniej od czasów, gdy człowiek jeszcze nie potrafił unieść się tak wysoko, by obejrzeć zatokę „z lotu ptaka”. Włoskie *bocca* oznacza w szerszym sensie także każdy inny otwór – a tak właśnie jawi się od strony morza wylot głębokiej, obrzeżonej wysokimi stokami Zatoki Kotorskiej.

Uznawana bez mała za jeden z siedmiu cudów świata (zresztą chyba słusznie!) zatoka wraz z leżącymi na jej brzegach miastami została już w 1979 r. wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO (jako „Przyrodniczy i Kulturowo-Historyczny Region Kotoru”). Trzeba przyznać, że jej widok – czy to oglądany od strony lądu, czy z pokładu statku – pozostaje w pamięci na zawsze! Jadąc wąską szosą, obiegając zatokę, podziwiamy wciąż zmieniającą się panoramę. Strome stoki, to kłujące oczy oślepiającą białą wapiennych skał, to kojące je zielenią porastających zbocza lasów, opadają wprost ku lazurowej toni wód, zmęczonej tylko od czasu do czasu sylwetą statku lub białym żaglem jachtu. Na pograniczu wody i lądu w wielu miejscach rzucają się w oczy biało-czerwone szachownice – to miasteczka i mniejsze osady, w których białe mury domów



Perast od strony zatoki. U góry ruiny fortecy św. Krzyża

i kościołów wieńczą dachy, układane z dachówek o wszystkich odcieniach czerwieni.

Od Kotoru po otwarte morze długość Zatoki Kotorskiej wynosi 28 km, ale długość jej linii brzegowej to aż 107,3 km. Powierzchnia zatoki wynosi 87 km². Jej głębokość maksymalna sięga nawet 60 m. Jest to na tyle dużo, że do położonego na samym końcu zatoki Kotoru wpływają dziś największe wycieczkowce



Perast. Na pierwszym planie pałac Bujovićów, w głębi pałac Smekijów i wieża kościoła św. Mikołaja; na ostatnim planie masyw Lovčenu

świata. Zaskakująca jest tu przewrotność historii: kiedyś z wysokich na kilkanaście metrów murów obronnych miasta strażnicy miały świetny wgląd na pokłady największych wpływających do zatoki okrętów, natomiast dziś ciekawscy turyści mogą bez trudu zaglądać z 8. czy 9. pokładu swojego wycieczkowca, ponad tymiż murami, wprost w okna stojących za nimi domów...

Jednak dziś nie będzie o Kotorze, lecz o innej, nieco mniej znanej „perełce” zatoki – o Peraście. To niewielkie miasteczko leży u podnóża szczytu Sveti Ilija (873 m), na wprost cieśniny Verige. Nazwę wzięło podobno od iliryskiego plemienia Pirustów, którzy pierwsi się tu osiedlili. W 1420 r. miastem zawładnęła Wenecja. To pod jej opiekuńczymi skrzydłami mieszkańcy Perastu rozwinęli swoje żagle – i to dosłownie! Od początku istnienia miasta żyli z morza, szybko jednak z rybaków przekształcili się w dalekomorskich żeglarzy. Wzbogaceni na dalekich wyprawach handlowych pod flagą *Serenissimy* (nie mówiąc już o jeszcze bardziej intratnych eskapadach korsarskich...) zaczęli budować własne statki i stawali się niezależnymi armatorami. Pierwsza stocznia powstała w Peraście w 1336 r., a w 1512 r. tutejsi szyprowie dysponowali już flotą 60 statków.

Szczególny rozwój miasta nastąpił od końca XVI w., gdy uwolniło się ono od jurysdykcji Kotoru. Po najeździe piratów z Ulcinj, którzy w 1624 r. złupili miasto, a wielu mieszkańców pojмали w niewolę, Perast szybko odbudowano. Kolejną próbę miasto przeszło 30 lat później, gdy zaatakowały je wojska otomańskie. Heroiczną obronę miasta poświadcza okolicznościowy napis na frontonie kościoła parafialnego. Później Perast był już na tyle bogaty i silny, że skutecznie odstraszało to większość potencjalnych najeźdźców.

Szczyt potęgi miasta przypadł na drugą połowę XVII i XVIII w. Pyszniły się tu wówczas świeżo wzniesione w stylu weneckiego baroku pałace 16 najświetniejszych rodów armatorskich oraz 17 kościołów katolickich i 2 prawosławne. Zarówno pałace, jak i kościoły budowano na miarę niewielkiego w końcu Perastu, jednak ich architektura, zdobienia i wyposażenie nie ustępowały czołowym obiektom Wenecji, Dubrownika czy niedalekiego Kotoru. W połowie XVIII w., w okresie szczytowego rozwoju miasta, działały tu 4 stocznie (rozglądając się po wąskim nabrzeżu zastanawiam się – gdzie?). Perast posiadał wówczas flotę ok. 100 statków (w tym 40 żaglowców w rękach rodziny Martinović), kapitał obrotowy rzędu 100 tys. dukatów – i jedynie 1600 mieszkańców!

To niewielkie miasto wydało imponującą liczbę postaci zasłużonych nie tylko dla lokalnej społeczności. Andrija Zmajević (1624–1694), arcybiskup Baru i prymas Serbii, znawca i zbieracz antyków, był hojnym patronem artystów i uznanym poetą. Jego krewniak Vicko (1670–1745), arcybiskup Zadaru, ufundował seminarium iliryskie i jako pierwszy wprowadził do liturgii język chorwacki. Innym wybitnym członkiem rodu był Matija Zmajević (1680–1735) – twórca potęgi Floty Bałtyckiej cara Piotra I i jej admirał. Kapitan Marko Martinović (1663–1716), słynny nawigator i matematyk, założył w Peraście Akademię Morską, do której w 1698 r. Piotr I skierował na nauki 16 najzdolniejszych rosyjskich kadetów. W tym samym czasie Matija Melada zdobył w Rosji sławę jako budowniczy portów. Tripo Kokolja (1661–1713), wybitny malarz epoki baroku,

znany jest do dziś m.in. z pięknej dekoracji kaplicy Gospa od Škrpjela na widocznej z miasta wysepce.

Do Perastu przyjeżdża mnóstwo wycieczek. Ogromna większość odwiedzających przybywa tu tylko po to, by wsiąść na stateczek i udać się na główną atrakcję Perastu – wspomnianą wysepkę. Tymczasem samo miasteczko jest równie interesujące, a wiosenne dni – kiedy na parkingu u jego granic można jeszcze znaleźć wolne miejsce, a białe mury nie grzeją jeszcze jak wielki piec – idealne na jego zwiedzanie!

W przeciwieństwie do Kotoru, Perast nigdy nie posiadał murów obronnych. Zastępowało je jedynie 9 wież obronnych – *czardaków*, należących do najświetniejszych rodów miasta oraz wybudowana w 1570 r. forteca św. Krzyża, której pozostałości widoczne są jeszcze nad miastem. Chodząc po wąskich uliczkach i stromych zaułkach odnajdujemy bardzo już wyblakłe ślady tej dawnej świetności, na dodatek mocno naruszonej tragicznym trzęsieniem ziemi w roku 1979. Oto u wjazdu do miasta, tuż nad brzegiem, pierwszy z dziewiętnastu pałaców Perastu – braci Bujović, z wydatnymi balustradami: dziś – siedziba muzeum. Zniszczony w czasie wspomnianego trzęsienia ziemi, został błyskawicznie odbudowany z polecenia marszałka Tity (podobno na prośbę ówczesnego sekretarza generalnego UNESCO, Amadou-Mahtara M'Bow, od którego chyba nieco zależało, czy Boka zostanie wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa...). W głębi, wyżej – pałac rodu Zmajević, w tej postaci po przebudowie, dokonanej w 1664 r. przez arcybiskupa Andriję Zmajevića. Dalej – trzypiętrowy pałac rodu Smekija z 1764 r. z wydatnym tarasem i masywnymi balkonami. Jeszcze dalej – kolejne pałace: Balovićów, Mazarovićów, Viskovićów itd. Dominuje nad nimi wysoka na 55 m wieża kościoła św. Mikołaja z 1691 r. – najwyższa na całym wschodnim wybrzeżu Adriatyku.

W ostatnich dziesięcioleciach Perast się wyludnia. Jeszcze w 1971 r. liczył 637 „dusz”. Wg danych z początków naszego wieku, było w nim 135 gospodarstw domowych i tylko 350 stałych mieszkańców. W jednym z przewodników przeczytałem: *Wymarłe miasto marynarzy z rozsypującymi się zabytkami. Kto wie, czy to nie najpiękniejsze miejsce nad Adriatykiem. Warto sprawdzić!*



Kościółek św. Jana Chrzciciela z końca XVI w.

Miroslaw J. Barański

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Muzeum historyczne w Kijowie

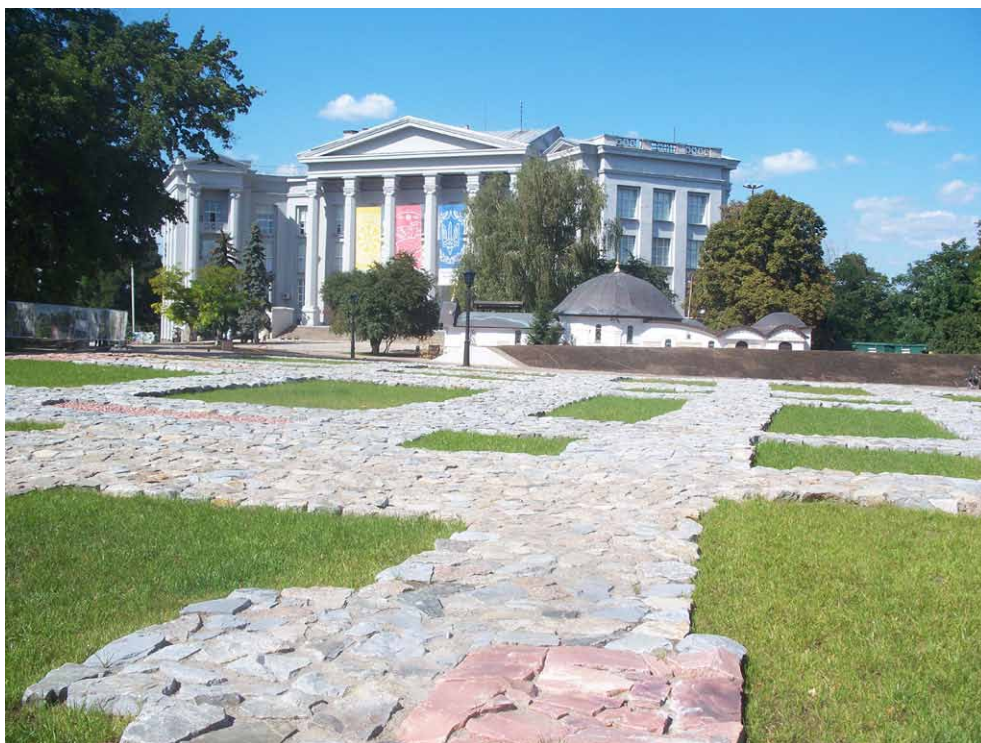
Oprócz wielu kijowskich muzeów, o których dotychczas pisałem (NS e-126, 04-2017 i wcześniej), na uwagę zasługuje także muzeum historyczne.

Na wzgórzu Wysokiego Miasta w Kijowie, gdzie w czasach Rusi Kijowskiej stał zamek kniazia Włodzimierza, wznosi się gmach Narodowego Muzeum Historii Ukrainy. Tuż przed nim rozciąga się rozległa przestrzeń, na której kamiennymi pasami zaznaczono fundamenty najstarszej kamiennej kijowskiej świątyni Zaśnięcia Przenajświętszej Bogurodzicy (budowa: lata 986–996), zwanej *Cerkwią Dziesięcinną* (od dziesiątej części dochodów, jaką książę na nią przeznaczal). Świątynię zburzyli Mongołowie, którzy zdobyli Kijów w 1240 r. W tym miejscu, wyróżniającym się jakoby szczególnymi właściwościami duchowymi, można spotkać niekiedy grupy ludzi, które kontemplują tu życie, ze wzniesionymi dłońmi i wzrokiem utkwionym w niebo. Właśnie wchodząc do muzeum widzę krąg utworzony przez kilkadziesiąt stojących nieruchomo osób. To nowocześni czciciele starosłowiańskich obyczajów – wyjaśnia mi znajomy kijowianin.

Dzieje muzeum liczone są od 1899 r., gdy w Kijowie otwarto wystawę archeologiczną w muzeum starożytności i sztuki, nowo wznoszonym wówczas przez polskiego architekta Władysława Horodeckiego (NS e-100, 02-2015). Swoje początki muzeum zawdzięcza zwłaszcza wybitnym architektom Mykole Bielaszewskiemu i Wikientijowi Chwojce, którzy, badając liczne kurhany, zgromadzili pokaźne ilości zabytkowych przedmiotów.

Od 1935 r. muzeum historyczne mieściło się na terenie Peczerskiej Ławy. W czasie wojny kolekcja muzealiów przebywała w Ufie, a po powrocie do Kijowa trafiła do budynku należącego wcześniej do szkoły artystycznej na Górze Starokijowskiej i tu znajduje się do dziś.

Zbiory muzealne liczą 800 tys. jednostek, z czego tylko część jest wystawiana. W ekspozycji znalazły się cenne kolekcje archeologiczne, etnograficzne i numizmatyczne, uzbrojenie, unikalne wydania książek, szkło



Muzeum historyczne z odtworzonymi fundamentami Cerkwi Dziesięcinnej



Krąg czcicieli starosłowiańskich obyczajów

i porcelana. Organizuje się wystawy okresowe.

Chodząc po salach na 4 kondygnacjach muzeum można prześledzić całą historię Ukrainy, od starożytności do dziś. Są tu narzędzia rolników i hodowców z kultury trypolskiej, przed gmachem stoją *scytyjskie baby* (piaskowcowe posągi kobiece z okresu matriarchatu). Wewnątrz można oglądać uzbrojenie Połowców, modele chat pierwszych Słowian, pozostałości po Rusi Kijowskiej, ekspozycje z okresu carskiego i radzieckiego, a także Ukrainy współczesnej. Jest np. złocona kareta, którą *imperatryca* Elżbieta Pietrowna podarowała kijowskiemu metropolicie Rafałowi Zaborowskiemu w 1744 r. Kolekcja numizmatyczna liczy 120 tys. monet zbieranych i wykopywanych z ziemi w ciągu 200 lat.

W muzeum stworzono trójwymiarowe *hologramy* najwartościowszych zabytków, od kultury trypolskiej do kozactwa. Obraz holograficzny słynnego *pektorala scytyjskiego* jest tak dokładny, że widać na nim nawet najdrobniejsze szczegóły postaci zwierzęcych. Jak pisałem, złoty pektorał o średnicy 31 cm z IV w. p.n.e. znajduje się w muzeum kosztowności w Peczerskiej Ławrze (NS e-99, 01-2015). Hologramy podróżują po świecie zamiast oryginalnych zabytków, których wartość ocenia się



Kareta imperatorowej



Słowiańskie chaty



Scytyjskie posągi kobiece

na ponad 15 mln euro. Problemy z logistyką i ubezpieczeniem podróży zabytków tej klasy znikają, gdy zastępuje się je hologramami, które przy oglądaniu dają wrażenie kontaktu z oryginałami. Takie „muzeum w walizce” pozwala pokazywać za granicą unikalne kijowskie zbiory bez kłopotliwego przewożenia eksponatów, co zresztą muzeum historyczne wykorzystuje w pełni, wysyłając hologramy do wielu krajów świata.

Janusz Fuksa

Symposium Babiogórskie w Krakowie i Spotkanie Przedstawicieli Klubów Górskich PTTK

Na zakończenie Roku Babiej Góry KTG ZG PTTK przygotowało Symposium Babiogórskie, które odbyło się w sobotę 2 grudnia 2017 r. Popularność Babiej Góry wśród turystów i nośny temat spowodowały, że do niewielkiej salki konferencyjnej Centralnego Ośrodka Turystyki Górskiej przy ul. Jagiellońskiej w Krakowie przybyło ponad 100 osób z całego kraju. Salka z trudem zmieściła wszystkich chętnych. Organizatorzy przygotowali dla uczestników „pakiet startowy” składający się z programu symposium, mapy wydawnictwa COMPASS „Zawoja, Babia Góra”, folderu „Szlakami Babiej Góry” (wydanego przez Babiogórski Park Narodowy), oferty Wydawnictwa COMPASS (sponsora symposium) i biogramu Edwarda Hudziaka (autorstwa Izabeli Hudziak). Ponadto można było pobrać bezpłatne, archiwalne egzemplarze „Gazety Górskiej” o ciekawej tematyce.

Zaplanowane na godzinę 10.00 spotkanie zaczęło się sporo później, ponieważ rejestracja uczestników przeciągnęła się. Tak to jest, gdy wiele osób zjawia się niemal jednocześnie – trzeba swoje odczekać. Wreszcie około 10.30, po czynnościach administracyjnych udało się rozpocząć merytoryczną część symposium. Zobaczyliśmy i wysłuchaliśmy prezentacji dotyczących m.in.: historii turystycznego poznania i zagospodarowania Babiej Góry, postaci Hugona Zapałowicza, Ośrodka Historii Turystyki Górskiej na Markowych Szczawinach, przyrody masywu babiogórskiego, działań PTTK w rejonie Babiej Góry. Prelegentami byli znani działacze turystyczni oraz goście, w tym dyrektor Babiogórskiego Parku Narodowego Tomasz Pasierbek. Gościem specjalnym była Izabela Hudziak, córka tragicznie zmarłego Edwarda, wieloletniego ratownika GOPR i gospodarza schroniska na Markowych Szczawinach.

Trzeba przyznać, że prezentacje były znakomicie przygotowane, co nie zawsze się zdarza w podobnych okolicznościach. Nikt się nie nudził, bo i tematyka zajmująca, i prelegenci stanęli na wysokości zadania. W przerwie symposium losowano wśród uczestników zestawy przewodników, map i albumów. Na parterze czynna była księgarnia górską Ośrodka, w której wiele osób dokonało stosownych zakupów.

W krótkiej prywatnej rozmowie z dyrektorem Babiogórskiego Parku Narodowego zapytałem o budowę kolejki gondolowej z Zawoi Czatoży na Małą Babią Górę (Cyl). Okazuje się, że wśród zawojan ten pomysł nie



Goprówka – nowa siedziba Ośrodka Historii Turystyki Górskiej na Markowych Szczawinach – zdjęcie z prezentacji

upadł i prawdopodobnie wypłynie przed zbliżającymi się wyborami samorządowymi. Park jest stanowczo przeciwny takiej inwestycji.

Po sympozjum na sali pozostało dość liczne grono przedstawicieli klubów górskich PTTK. Gospodarzem spotkania był Jacek T. Nowicki, szef Podkomisji Klubów KTG ZG. Krótko podsumował działalność podkomisji w mijającym roku i przedstawił plany wspólnych z klubami działań w roku 2018. Wspomniał o braku kontaktu z niektórymi klubami – uzupełniono listę



Gość specjalny na sympozjum – Izabela Hudziak z Markowych Szczawin

kontaktową. Mowa była o Krajowej Konferencji Aktywu Górskiego, która odbędzie się w sobotę 3.03.2018 r. Uczestnikami będą delegaci komisji oddziałowych turystyki górskiej i wybrani bezpośrednio w klubach górskich. Drugim istotnym wydarzeniem będzie kolejny, 38. Zlot Klubów zaplanowany w Kielcach od 17 do 20 maja 2018 r. Krótko o zlotowych planach mówił przedstawiciel organizatora, klubu z Kielc. Zapowiedziano także III Ogólnopolski Zlot Zdobywców i Sympatyków GOT PTTK im. Przemka Jończyka na 14–16 września 2018 r. Szczegółowe informacje o planowanych imprezach zainteresowani znajdą na internetowej stronie (tamże kontakt do podkomisji i poszczególnych klubów). Na kanwie ostatnich wydarzeń, w górach pojawiły się sugestie wprowadzenia opłat za akcje ratunkowe GOPR i TOPR w przypadku stwierdzenia ewidentnej winy osoby ratowanej, która spowodowała konieczność interwencji ratowników. Można było odnieść wrażenie, że zebrani popierają takie rozwiązanie.

Juliusz Wystouch

Laboranci w Bukowcu

W piątek 3 listopada 2017 roku do Bukowca zawitali laboranci. Oczywiście nie tacy prawdziwi, z krwi i kości. Przybyli do siedziby Związku Gmin Karkonoskich mogli, za sprawą opowieści Przemka Wiatera, dowiedzieć się, skąd w ogóle wzięli się u nas laboranci, czym się zajmowali, jak ich przyjmowano w czasach im współczesnych, a jak na ich dokonania patrzymy dzisiaj.

Przemysław Wiater, jeden z bardziej rozpoznawalnych badaczy dziejów naszego regionu, postanowił podzielić się swoją wiedzą o praktykach zielarskich stosowanych przez setki lat w Górach Olbrymich. Wprowadził słuchaczy w świat tajemnic, magii i rzeczy niewyjaśnionych. Zdradził niektóre tajemnice mistrzów zielarskich. Pokazał jak niewiele trzeba, by – zamiast pomóc człowiekowi – zaszkodzić mu. Niewielkie bowiem zwiększenie dawki wywaru z konkretnego zioła, zamiast być lekarstwem staje się śmiertelną trucizną. Do tego, przynajmniej w dawnych czasach, trudną do odkrycia. Dlatego też często ludzi zajmujących się ziołolecznictwem posądzano o wiele niegodziwości. Oczywiście ich praktyki nie mogły podobać się lekarzom, którym często odbierali pacjentów.

Przemysław Wiater opowiedział o tym, w jaki sposób pozyskiwano poszczególne zioła. Często ludzie wyruszający po nie, nie mogli być pewni szczęśliwego powrotu do domu. Czasami przyplacali tożyciem. Niektóre


zioła były tak cenne, że pilnował ich sam Karkonosz. A nie lubił on, tak jak większość z nas, gdy ktoś dobierał się do jego skarbów. Typowym przykładem może tutaj być chęć pozyskiwania korzenia mandragory, który ponoć był lekiem na wszystko. Dlatego Duch Gór chroniąc roślinkę przed wyrwaniem z ziemi spowodował, że w momencie jej wrywania wydawała z siebie tak przeraźliwy pisk, iż ten, kto go usłyszał, schodził z tego świata. Ludzie oczywiście wymyślali różne sposoby, by nie spotkało ich najgorsze. W tym wypadku przywiązywali sznurkiem roślinkę do psiego ogona zostawiając w pewnej odległości jakiś smakołyk. Gdy pies chciał go zjeść, wrywał roślinkę ponosząc śmierć na miejscu. Ludzie zaś czekali w tym czasie w bezpiecznej odległości.

Dzisiaj nie ma już laborantów, ale ich wiedza nie umarła wraz z ostatnim z nich. Zioła zostały opisane w licznych książkach, jednak wiedza o ich właściwościach magicznych nigdy do końca nie została przekazana do publicznej wiadomości. Jeśli zatem ktoś chce dowiedzieć się nieco więcej, powinien sięgnąć po wydaną nakładem AD REM-u pozycję zatytułowaną „Laboranci u Ducha Gór”. Dodam tylko, że w spotkaniu z Przemkiem

Wiaterem czynnie brał udział Waldemar Ciołek, znany jako „Druid Szalony”, który czerpiąc z wiedzy tajemnej, często wprowadza nas w świat wiadomości niezrozumiałych, a i nieznanych.



Krzysztof Tęcza



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Megalityczna Irlandia

W dniu 30.11.2017 r. o godz. 17.00 w „Gościńcu na Starówce” w Kowarach miało miejsce uroczyste otwarcie wystawy fotografii Jacka Mielcarka pt. „Megalityczna Irlandia”. Autor wystawy jest kowarzaninem. Od 11 lat mieszka w Irlandii. Jego hobby to podróże i fotografia.

Na swoich zdjęciach zaprezentował kilka miejsc związanych z prehistorycznymi dziejami Irlandii, m.in. tak znane, jak Newgrange, Knowth, Dowth, Fourknocks, Loughcrew Carin. Można też zobaczyć kilka innych, mniej znanych obiektów megalitycznych znajdujących się na tej wyspie.

Warto zauważyć, że uzupełnieniem wystawy była prezentacja slajdów. Fotografie stanowiły tło dla opowieści o archeologii, pradawnej Irlandii, jej tajemniczych mieszkańcach i Celtach.

Wystawę „Megalityczna Irlandia” można oglądać za darmo w „Gościńcu na Starówce” w Kowarach. Jest czynna codziennie w godzinach 12–18 do końca lutego 2018 roku.

Zbigniew Piepiora

fol. Zbigniew Piepiora



fol. Zbigniew Piepiora



fol. Zbigniew Piepiora



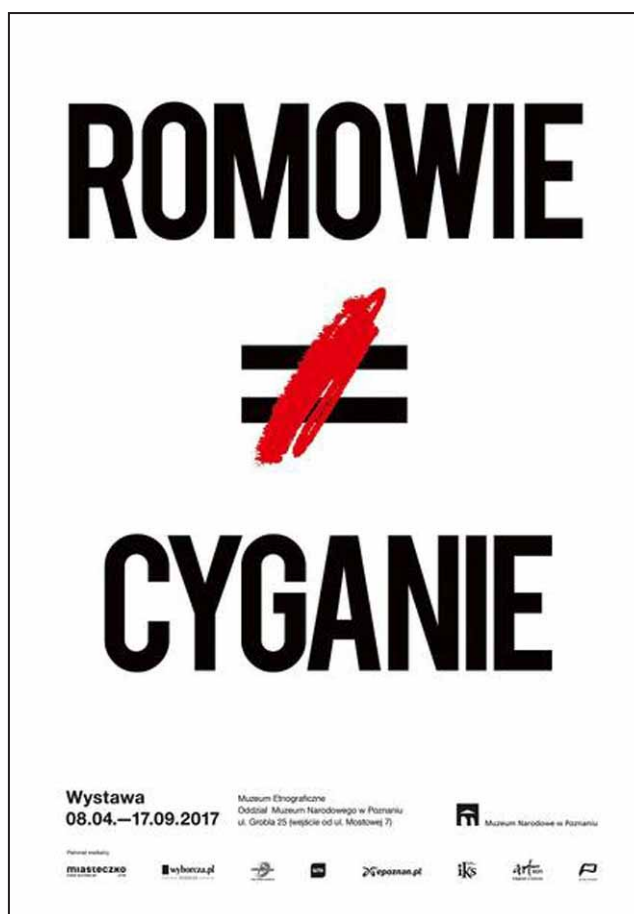
Na szlakach od tysiąca lat

Muzeum Etnograficzne, Oddział Muzeum Narodowego w Poznaniu dało publiczności wspaniały pokaz kultury Cyganów = Romów w formie trwającej pół roku wystawy (8 kwietnia – 17 września 2017 r.). Było to wydarzenie o tyle niezwykle, że temat nie tylko przez muzealników, etnologów i etnografów uważany jest za trudny. Poza tym organizatorzy twierdzą, że takie imprezy w polskich muzeach należą do osobliwości najrzadszych w swojej klasie. Mało tego, w ostatnich latach było ich mniej niż palców u obydwu rąk i bez rewelacji w warstwie wizualnej. Niestety, poznańska wystawa, choć trwała aż pół roku, należy do przeszłości i zapewne nieprędko inne muzeum postara się o ukazanie bogactwa romskiej kultury.

Wypada dodać, że wystawa w Poznaniu powstała w ścisłej współpracy z bogatym pod względem ilości i jakości zbiorów Muzeum Etnograficznym w Tarnowie. Zgromadziło ono jedyną w swoim rodzaju kolekcję romską, ze swej natury ważną dla *gadziów*, czyli nie-Cyganów (nie-Romów). Zbiory ukazują kulturę tej grupy etnicznej gromadzone przez 60 lat. Placówka z siedzibą w zabytkowym dworze z XVIII wieku daje pojęcie odwiedzającym o kulturze i historii Romów, którzy licznie zamieszkiwali rejony Tarnowa. Do najcenniejszych eksponatów należy kolekcja bogato zdobionych cygańskich wozów taborowych. Muzeum jest organizatorem dorocznych imprez: Cygańskiego Lata, Taboru Pamięci Romów, Cygańskiej Jesieni, koncertów i pokazów kultury romskiej.

Autorzy wystawy w Poznaniu zapowiedzieli, że ma ona [...] *przedstawić historię i kulturę polskich Romów, kierunki migracji, ze szczególnym ukazaniem zróżnicowania i niejednorodności grup [...], poruszyła także zagadnienie hermetyzacji tej kultury, jej tożsamości i dylematów z nią związanych – z utrudnieniami procesów integracyjnych i komunikacyjnych. [...] Nie ma jednej homogenicznej grupy Romów, lecz wiele społeczności o różnych nazwach nadawanych im przez innych lub przez nich samych.* Istotnie, w wydanym z okazji wystawy albumie znajduje się kilkadziesiąt określeń i nazw identyfikujących Romów, nie tylko w krajach europejskich. W Polsce – jak podaje wybitny cyganolog Adam Bartosz – [...] *są to dwie grupy. [...] Romowie od wieków osiadli w górskich terenach, żyjący do niedawna bardzo ubogo, z drugiej zaś Romowie, czy raczej potomkowie Romów niegdyś wędrownych.* Dlatego podczas wędrówek turystycznych, krajoznawcy powinni mieć świadomość, że mogą spotkać na szlaku, w małych skupiskach, czasem bardzo prymitywnych osiedlach, nad potokami lub poza miasteczkami, Romów osiadłych nazywanych *Polska Roma*, *Bergitka Roma*, *Bergitki*, czyli Górskich Romów. Żyją oni przede wszystkim w okolicach podgórskich i miejscowościach górskich, np. w kilku gminach na Śląsku, w Maszkowicach, w Krośnicy opodal Krościenka nad Dunajcem czy w bogatym osiedlu w Czarnej Górze koło Bukowiny Tatrzańskiej. Ale spotkać można także potomków przybyłych z Rumunii szczepów *Kelderari* czyli Kotlarzy, oraz *Lowari*, czyli Koniarzy. Są jeszcze grupy Romów wędrownych, jak np. *Warmijaki*, *Galicjaki*, *Łomżyniaki*.

Kto nie wiedział o rzeczonyj wystawie, nie poznał niezwykle rzadko prezentowanych faktów z niewielkiego, ale jednak ważnego rozdziału polskiego krajoznawstwa. Nie dowiedział się o Cyganach czy też Polskich Romach, unikatowej grupie etnicznej. Nie wie też, że od 1977 r. działa Międzynarodowa Unia Romów, a w Polsce mamy ponad 100 dotowanych romskich stowarzyszeń kulturalnych; że zarejestrowano ponad 110



firm romskich; że żyje między nami 17–25 tys. osób o statusie odrębnej grupy etnicznej, jak Łemkowie, Karaimi, Tatarzy; że ponad 60 Cyganów studiuje z powodzeniem w naszych wyższych szkołach, a dwie Romki mają tytuł doktora nauk; że Andrzej Mirga, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, jest wybitnym działaczem romskim, etnologiem, Jan Mirga wykłada na Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie, zaś dr Anna Mirga bada przejawy dyskryminacji swoich rodaków,

Mało kto wie, że 8 kwietnia to Międzynarodowy Dzień Romów – tegoż dnia otwarta została poznańska wystawa. Romowie mają swoją barwną flagę narodową – poziomy pas górny jest zielony, dolny – niebieski, a pośrodku widnieje rysunek koła od wozu taborowego. Niedawno w Serocku opodal Warszawy obradował VI Kongres Romów.

W atrakcyjnym graficznie, z wieloma ilustracjami, albumie wydanym z okazji poznańskiej wystawy, autor jej scenariusza – Witold Przewoźny, etnograf i etnolog, jeden z nielicznych naszych cyganologów, kustosz w Muzeum Etnograficznym – napisał: *[...] Przez wieki Romowie tworzyli specyficzną tożsamość grupową opartą głównie na więziach rodowych, ze ściśle określonymi zasadami postępowania, z przekazywanym ustnie z pokolenia na pokolenie kodeksem definiującym ich odrębność.* Ta odrębność w istocie istnieje nie tylko jako osobny styl życia – wszak dawno już nie wędrują po polskich i europejskich drogach barwne tabory z zaprzęgiem konnym. Owszem, odbywają się pielgrzymki Romów na Jasną Górę (od 1981 r.), do Limanowej do Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej (we wrześniu), albo do Auschwitz-Birkenau (2 sierpnia – Dzień Pamięci o Zagładzie Romów obchodzony od 1966 r.) i miejsca kaźni współbraci w Chełmnie nad Nerem (Obóz Zagłady Kulmhof) opodal Koła (holokaust 4300 Romów z Austrii i Polski w Lesie Rzuchowskim opisał w albumie Zbigniew Pakuła).

Nadal najsilniej oddziela od nas tych dawnych wędrowców, pomimo fizycznej bliskości – język. Nigdy nie zaistniał w postaci spójnej literatury, rzadko mieliśmy okazję poznać poezje Bronisławy Wajs znanej jako Papusza czy Bronisławy Korsuń (Randii). Jednak dopiero od 2005 r. polskie przepisy uznają Romów za osobną grupę etniczną/narodową, a jej członkowie w 17 tysiącach przypadków zadeklarowali swoją tożsamość w Spisie Powszechnym.

Autor scenariusza poznańskiej wystawy w artykule wprowadzającym widza do Muzeum Etnograficznego napisał o Romach m.in. tak: *[...] Nie ma więc „rdzennych Romów”, jakiejś ich „oryginalnej” kultury. Jest wiele różnych kultur romskich będących wypadkową miejsca osiedlenia lub kierunku wędrówek, presji zewnętrznej i podziałów wewnątrz grupy.* W każdej z nich znajdują się muzycy, nieraz o wirtuozowskich umiejętnościach (np. w śpiewie solowym, tańcu, grze na akordeonie, saksofonie, gitarze czy skrzypcach); rzemieślnicy –kowale, blacharze, wytwarzający słynne pobielane patelnie, handlarze końmi, kamieniarze, ale coraz częściej budowlańcy czy pracownicy firm komunalnych.

Godne poznania są też romskie, bogate w osobliwe formy, domy mieszkalne czy nawet rezydencje, np. w Poznaniu, Zgierzu, opodal Łowicza, w Mławie czy Szczecinku. Swoisty kształt mają romskie kwatery na wielu cmentarzach, np. w podpoznańskim Swarzędzu, gdzie w okazałych, bogato zdobionych i rozbudowanych grobowcach pochowano znaczniejszych Romów. Z albumu towarzyszącego wystawie w Poznaniu i artykułu Adama Bartosza (wieloletniego dyrektora tarnowskiego muzeum, pisarza, cyganologa) „Romowie w Polsce” dowiedziałem się, że Romowie mają swojego pierwszego na świecie błogosławionego, męczennika, handlarza końmi, wyniesionego na ołtarze przez Jana Pawła II w 1997 r. To Hiszpan zamordowany przez republikanów w czasie wojny domowej w 1936 r. – błogosławiony El Kalo, czyli Zefiryn Giménez Malla (Ceferino Gimenez Malla). W Łososinie Górnej (koło Limanowej w Beskidzie Wyspowym) jest kaplica pw. błogosławionego Zefiryndy, konsekrowana w 2009 r. Dla prawdziwego krajoznawcy to obiekt godny zainteresowania, co prawda znacznie mniejszy niż wielkie świątynie.

Tomasz Kowalik



Podsumowanie Rajdu na Raty 2017

W niedzielę 3 grudnia 2017 roku odbyło się spotkanie podsumowujące tegoroczny Rajd na Raty. Najpierw jednak dla chętnych zorganizowano ostatnią (46. w 2017 roku) wycieczkę. Turyści spotkali się w Wojanowie, do którego dojechali autobusem komunikacji miejskiej. Tam obejrzel kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Ci, którzy byli tutaj niedawno, zapewne widzieli, że obiekt ten był szczelnie opakowany, gdyż wpuszczono do niego specjalny gaz mający zlikwidować wszelkie szkodniki niszczące zabytkową substancję drewnianą. Nie można wtedy było nie tylko wchodzić do środka, ale nawet za bardzo zbliżać się do niego. Jednak dzięki zastosowaniu tak drastycznych środków, na wiele lat zostało powstrzymane niszczenie wyposażenia świątyni.

Kolejnym celem turystów była Dąbrowica, gdzie w 2007 roku ustanowiono Sanktuarium Matki Bożej Jasnogórskiej – Uzdrawienia Chorych. Bardzo ciekawym miejscem na trasie okazało się wzniesienie Koziniec, na którym znajdują się pozostałości średniowiecznego zamku o tej samej nazwie.

Jak widać, ostatnia w tym sezonie wycieczka Rajdu na Raty nie była zbyt męcząca, ale za to pozwoliła na zwiedzenie wielu ciekawych miejsc. Nad całością czuwała Jolanta Kupeć, która niedawno zdobyła uprawnienia przewodnika sudeckiego.

Zakończenie sezonu zorganizowano w sali Jeleniogórskiego Centrum Kultury przy ul. 1-go Maja. Było to możliwe dzięki pomocy Urzędu Miasta Jelenia Góra. Dodam tutaj, że miasto bardzo przychylnie patrzy na naszą imprezę, co pozwala mieć nadzieję, że prowadzone społecznie wycieczki będą organizowane jeszcze przez wiele lat, z pożytkiem zarówno dla turystów, jak mieszkańców Jeleniej Góry i przebywających tutaj kuracjuszy.

Prowadzący spotkanie Wiktor Gumprecht (komandor Rajdu) przedstawił



statystyki dotyczące całego roku. I tak, Rajd na Raty organizowany przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze umożliwił turystom uczestnictwo aż w 46 wycieczkach krajowych (33 po terenie Dolnego Śląska) i zagranicznych (9 do Czech i 4 do Niemiec). Największą frekwencją cieszyła się wycieczka po Rudawach Janowickich, która miała miejsce 5 marca. Uczestniczyły w niej 82 osoby. Niewiele mniej, bo 66 osób uczestniczyło w wycieczce 21 maja do Radomierzyc. Najczęściej jednak grupy są mniejsze, co pozwala na ich „ogarnięcie” przez prowadzącego trasę.

W roku 2017 we wszystkich rajdowych wycieczkach wzięły udział 1564 osoby, co daje średnią 34 turystów na wycieczkę. Najwięcej, bo aż 45 razy wędrował Andrzej Makowski. Henryk Modzelewski i Jerzy Murak uczestniczyli w 42 wycieczkach, a Elżbieta Marcinkiewicz w 37. Osoby te pokazały, że niedzielne wyjścia z domu mogą być sposobem na zdrowe spędzanie czasu połączone z poznawaniem terenu.

Dla chcących poznawać tereny położone nieco dalej, zorganizowano wycieczki autokarowe. Podczas objazdów turyści zwiedzali Kaszuby (6 dni), Lwów (6 dni), Pragę (3 dni), Morawski Kras (2 dni) i Jesioniki (2 dni). Zorganizowano także wiele jednodniowych wycieczek autokarowych, zarówno po Dolnym Śląsku, jak i do naszych sąsiadów Czechów.

Zwyczajem stało się, że podczas spotkania podsumowującego sezon turystyczny organizowany jest konkurs krajoznawczy, a uczestniczący w nim sprawdzają wiedzę, jaką zdobyli podczas wycieczek. W tegorocznym konkursie 1. i 2. miejsce zajęli Paweł Wojtczak i Wojciech Skowroński, którzy zdobyli taką samą ilość punktów. 3. i 4. miejsce, z taką samą ilością punktów, zajęli Andrzej Hałka i Bolesław Moryl. Jako nagrody wszyscy otrzymali wydawnictwa turystyczne.

Skromne upominki otrzymali także prowadzący tegoroczne wycieczki przodownicy i przewodnicy sudecy. Wszyscy oni swoją pracę wykonywali społecznie. W 2017 roku najczęściej tras poprowadził Wiktor Gumprecht (21). W następnej kolejności byli: Jolanta Kupeć (8), Paweł Idzik (7), Krzysztof Tęcza (4), Jerzy Chmielecki (3), Jarosław Kapczyński (2) i Krzysztof Zając (1). Wszystkim dziękujemy, gdyż bez ich poświęcenia nie byłoby możliwe trwanie Rajdu.

Zarząd Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze wyróżnił osoby wykazujące się pozytywnym wpływem dla innych. Upominki książkowe otrzymali: Jarosław Kapczyński, który właśnie zdał egzamin przewodnicki i z uczestnika stał się osobą prowadzącą; Jolanta Kupeć, która – tak jak poprzednik – zmieniła charakter swojego uczestnictwa w Rajdzie; Wiktor Gumprecht, który czuwa nad całością organizowanych wycieczek i Paweł Wojtczak, którego fotografie upiększają wszystkie relacje rajdowe.

Ponieważ Rajd na Raty odbywa się w określonych ramach czasowych, zapraszamy ponownie 25 lutego 2018 roku na pierwszą wycieczkę kolejnego sezonu turystycznego. A podczas przerwy zimowej chętni mogą brać udział w wycieczkach Narciarskiego Rajdu na Raty prowadzonego przez Janusza Perza.

W sezonie 2016/17 w ramach tego Rajdu odbyło się 14 wycieczek narciarskich prowadzonych po terenie Karkonoszy i Gór Izerskich (11 w rejonie Jakuszyce, 3 w rejonie Przełęczy Okraj). W trakcie wędrówek turyści zwiedzali tereny położone zarówno po polskiej, jak i czeskiej stronie gór. Kilkakrotnie, ze względu na szybko zapadający zmrok, korzystali z latarek, co stanowiło utrudnienie, ale zarazem podnosiło „atrakcyjność” trasy.

Podczas zimowych wypadów narciarze przebyli 266 km, co daje średnio 19 km na wycieczkę. Są to zatem trasy dla każdego turysty umiającego posługiwać się nartami. Tutaj udziałem w największej ilości wycieczek wykazali się: Elżbieta Marcinkiewicz (11), Jarosław Kapczyński (10) i Henryk Modzelewski (9).

Na zakończenie dodam, że Rajd na Raty organizowany przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze w roku 2017 otrzymał wsparcie finansowe Miasta Jelenia Góra, Powiatu Jeleniogórskiego i Urzędu Marszałkowskiego Województwa Dolnośląskiego.

Krzysztof Tęcza



Wystawa „Mapy Gór Izerskich”

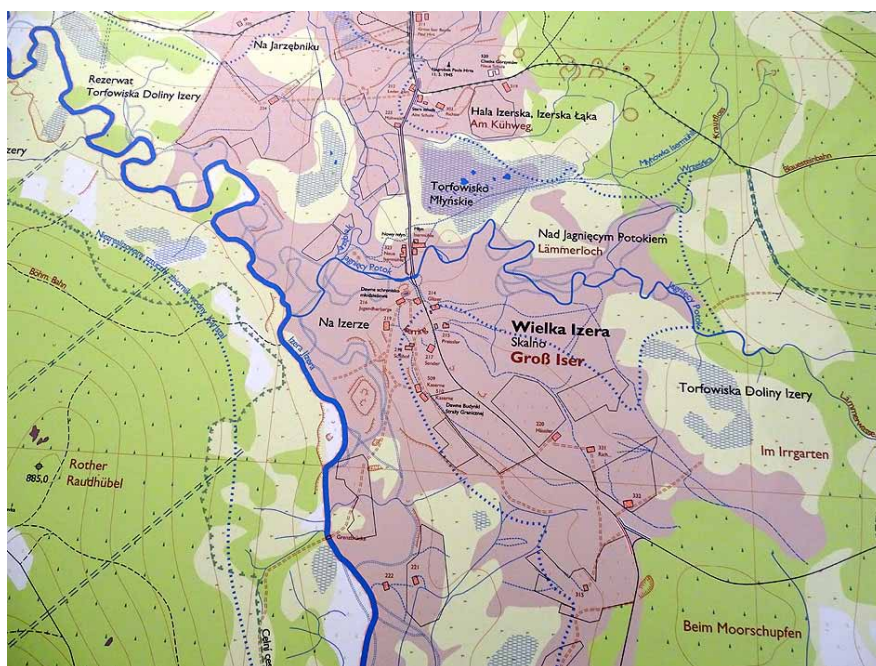
W poniedziałek 27 listopada 2017 roku miało miejsce otwarcie niezwykle interesującej wystawy zorganizowanej przez Archiwum Państwowe we Wrocławiu Oddział w Jeleniej Górze oraz Severočeské Muzeum w Libercu. Przybyli na spotkanie mogli zobaczyć mapy Gór Izerskich. Zaprezentowano przede wszystkim stare, obecnie nieużywane mapy tych terenów. Pozwoliło to na prześledzenie zmian zarówno topograficznych, jakie zachodziły w tym terenie, jak i w nazewnictwie. Porównanie poszczególnych wydań danej mapy, jakie ukazywały się na przestrzeni kilkudziesięciu lat, to oczywiście żmudna praca. Trzeba sporego skupienia, by je dostrzec i porównać. Dlatego też wystawa będzie czynna do końca 2017 roku, co pozwoli pasjonatom na wyszukiwanie smaczków zawartych w pozółkłych arkuszach map.

Dla zachęty podam, że przygotowano cztery mapy o tak dużej skali, iż widać dokładnie jaki kształt miały poszczególne domy w nieistniejącej już miejscowości Wielka Izera. Możemy też zobaczyć obszar zaplanowany pod nowy zbiornik wodny, który miał powstać jeszcze przed wojną, ale nie pozwoliły na to względy finansowe. Patrząc na te plany z perspektywy dnia dzisiejszego nie wiem, czy fakt, że nie zrealizowano tej inwestycji jest pozytywnym dla tej części Gór Izerskich, czy wprost przeciwnie – zmarnowaną szansą na rozwój.

Bardzo ciekawe możliwości, jeśli chodzi o mapy, dają nam nowe programy komputerowe pozwalające nakładać mapy na siebie i porównywać zmiany w ich treściach. Dzięki temu można odnaleźć nieistniejące już

obiekty, prześledzić np. zmiany koryt rzek, osadnictwa czy sieci komunikacyjnych. Często po takiej analizie jesteśmy zaskoczeni dowiadując się, że w dawniejszych czasach istniały np. urządzenia hydrotechniczne czy rozwiązania, o których nie pomyślelibyśmy nawet obecnie.

Dzięki zachowaniu się starych map możemy przyrzuć się zmianom nazw, co pozwala na podjęcie prac badawczych choćby z zakresu



osadnictwa. Możemy dowiedzieć się, gdzie w poszczególnych okresach zakładano osady, gdzie powstawały obiekty przemysłowe czy wreszcie – gdzie rozwijało się górnictwo. Dzisiaj często tereny te, po opuszczeniu przez ludzi, są zarośnięte tak, że nic nie wskazuje na to, że kiedyś na nich coś istniało. Przyroda potrafi bowiem w bardzo krótkim czasie poradzić sobie z nieużywaną substancją. Czasami jest odwrotnie, np. płynący ciek wodny wypłukuje ziemię i odsłania stare wyrobiska czy miejsca, w których znajdowały się jakieś budowle.

Prezentowane mapy zawierają tak wiele ciekawych informacji, że warto wybrać się do siedziby jeleniogórskiego oddziału Archiwum Państwowego we Wrocławiu, aby poznać chociaż część z nich.

Dodam tylko, że otwarcia wystawy dokonał dyrektor Archiwum Państwowego we Wrocławiu Janusz Gołaszewski, kierownik Oddziału AP w Jeleniej Górze Ivo Łaborewicz oraz Ivan Rous (współautor wystawy), przedstawiciel Wy-

działu Przyrodniczo-Humanistycznego i Pedagogicznego Uniwersytetu Technicznego w Libercu. W opracowaniu wystawy brali także udział Przemysław Wiater z Muzeum Karkonoskiego w Jeleniej Górze (Oddział w Szklarskiej Porębie) i Jacek Potocki z Uniwersytetu Ekonomicznego w Jeleniej Górze.

Krzysztof Tęcza



Wizyta w Alfeld

W sobotę 18 listopada 2017 roku w Muzeum w Alfeld otwarto wystawę fotograficzną przedstawiającą piękno Karkonoszy. Fotografie wykonali: Rafał Kotylak, Andrzej Raj, Iza Opala, Sławek Podgórnym, Grzegorz Truchanowicz, Jordan Plis i Cezary Jackowski.

Uroczystości otwarcia wystawy dokonali Burmistrz Alfeld Bernd Beushausen oraz Dyrektor Biura Związku Gmin Karkonoskich Witold Szczudłowski. Obaj w swoich przemówieniach podkreślili, jak ważna jest współpraca między mieszkańcami Alfeld i Kotliny Jeleniogórskiej.

Zaprezentowane fotografie przypominają rodzinne strony osobom, które musiały je opuścić po II wojnie światowej. Po 1945 roku do Alfeld przyjechało ponad 800 jeleniogórzan. Przywiezione przez nich pamiątki pozwoliły na utworzenie małego muzeum.

Gdy poprzedniego dnia oglądaliśmy widoki wokół Alfeld, mieliśmy wrażenie, że wcale nie wyjechaliśmy z Kotliny Jeleniogórskiej. Krajobraz, jaki tutaj zastaliśmy, jako żywo przypomina nasze Karkonosze i Góry Izerskie. Dlatego nie dziwimy się, że jeleniogórzanie wybrali na nowe miejsce właśnie to małe miasteczko.



Burmistrz Alfeld, gdy oprowadzał nas po swojej miejscowości, wcale nie musiał zachęcać do spaceru. Mnogość starych szachulcowych domów sprawia, że podczas zwiedzania czuliśmy się, jakbyśmy byli u siebie. Patrząc na zabudowę drewnianą wyraźnie widzi się granice starego miasta. Wiadomo, w których miejscach powstawała nowa zabudowa, tym razem murowana.

Zwiedzanie Alfeld najlepiej zacząć od centralnego placu z ratuszem. Wyraźnie widać, które partie tej budowli są wcześniejsze, a które późniejsze. Nad wejściem umieszczono herb miasta. W jego centrum znajduje się niebieski punkt otoczony czterema polami. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że tuż przy murze stoi ciekawy kamień. To właśnie on wyznacza centrum miasta, wokół którego powstały cztery kwartały stopniowo zabudowywane różnymi obiektami. Początkowo był to zwykły kamień, jednak gdy ktoś uprowadził córkę burmistrza, jej łzy spływające nań spowodowały zmianę jego koloru. Obecnie kamień ten stanowi o bezpieczeństwie miasta. Gdyby bowiem ktoś go wykradł, byłby to koniec rozwoju grodu. Dlatego, gdy kilkanaście lat temu remontowano budynek i na jakiś czas zabrano stąd kamień, rozdzwoniły się telefony. To mieszkańcy wyrażali swoje zaniepokojenie o przyszłość Alfeld. Trzeba było szybko ustawić go na swoim miejscu.

Podczas ostatniej wojny miasto ominęły bombardowania czy jakieś większe działania wojskowe, dzięki czemu zachowało ono swój zabytkowy charakter. To tutaj, przez plac przed ratuszem przebiega oś północ-południe wyznaczająca główny szlak komunikacyjny. Tutaj znajdowała się poczta i miejsce postoju dla koni. Dzisiaj woda z fontanny spływa kanałem do odsłoniętego koryta i umiła swoim szumem spacer po uliczce, z której wyprowadzono ruch samochodowy. Ostatnio, co prawda, myśli się o wprowadzeniu komunikacji miejskiej z wykorzystaniem małych pojazdów napędzanych najprawdopodobniej elektrycznie.

Obok ratusza wzniesiono świątynię. Jej wieże są wyższe niż budynek ratusza, ale nie wpływa to znacząco na relacje kościoła z władzami miasta, które opiekują się zabudowaniami sakralnymi ponosząc częściowo koszty przeprowadzanych w nich remontów. Istnieje legenda mówiąca o podziemnym przejściu łączącym świątynię z ratuszem. Było to o tyle ważne, że w ratuszowych piwnicach znajdował się browar. Zresztą dzisiaj funkcjonuje tu restauracja. Okazuje się, jak zawsze w tego typu opowieściach, że jest w nich ziarno prawdy. Istnieje bowiem kanał biegnący z piwnic ratuszowych do kościoła. W dawnych czasach przesyłano nim ciepłe powietrze, by po ogrzaniu najważniejszego budynku w mieście dawało ciepło modlącym się w świątyni.



Nieco wyżej, za kościołem, wzniesiono spory budynek przeznaczony na szkołę, która pomagała szerzyć wiedzę nie tylko wśród wąskiej grupy społeczeństwa. Aby przybliżyć wartości zawarte w Biblii nieumiejącym czytać, na zewnętrznych ścianach obiektu umieszczono dziesiątki przedstawień obrazkowych. Dzisiaj w tym pięknym budynku znajduje się muzeum i to właśnie tutaj zaprezentowano wspomnianą wcześniej wystawę fotograficzną.

Warte zainteresowania jest to, co spotkało budynek uniwersytetu stojący tuż obok. Może nam, Polakom, wydać się to niedorzeczne, ale całkiem niedawno uznano go za zbędny i rozebrano. Dzięki temu dzisiaj funkcjonuje tutaj spory parking.

Na sąsiedniej ulicy znajduje się najstarszy zachowany w mieście budynek drewniany. Na jego przykładzie widać, jak (mimo ograniczeń prawnych) starano się polepszać warunki mieszkaniowe. Otóż budowla nie mogła wystawać poza granice działki, ale tylko do wysokości 4 metrów. Wyżej można już było wysuwać się w stronę ulicy, co też czyniono.

Nieco dalej znajduje się pięknie zdobiony budynek, wyraźnie podzielony w zależności od przeznaczenia jego części. Na parterze znajdowały się pomieszczenia dla zwierząt, nieco wyżej mieszkali pracownicy, a najwyższa kondygnacja zajmowana była przez właściciela. I, tak jak dziś, piętro przeznaczone dla pracowników było niziutkie, natomiast część zamieszkała przez gospodarza wysoka. Od razu widać, jakie to miejsce w hierarchii społecznej. Obiekt ozdobiony przedstawieniami planet wyraźnie pokazuje, jak podczas osiadania pracuje drewno, z którego został zbudowany. Gdyby to był dom murowany, nie wytrzymałby takich ruchów. A tak, trochę krzywy, istnieje do dnia dzisiejszego.

W Alfeld możemy zobaczyć przykład wykorzystania starego, bo pochodzącego z 1667 roku, budynku, który powiększono o bardzo nowoczesną konstrukcję. Właściciel zachowując zabytek stworzył sobie miejsce do życia na miarę obecnych czasów. Mimo toczącej się dyskusji o zasadność takich działań, większość oglądających budowlę osób uważa, że miejsce, w którym stoi, zyskało na wizerunku.

Bardzo ciekawy pomysł przedstawił burmistrz. Planuje on wyburzenie części zabudowy i postawienie na jej miejscu obiektu mającego pełnić funkcje gospodarcze oraz mieszkaniowe. W jego budowę



zaangażowane będą fundusze prywatne: dolne kondygnacje będą wykorzystywane m.in. przez bank, a górne posłużą jako dom spokojnej starości. Uznano, że wprowadzenie tu osób starszych, o ustabilizowanej sytuacji finansowej, może spowodować ożywienie starego miasta. W centrum pojawiają się nowi ludzie z gotówką, a upadające do tej pory małe sklepiki, kawiarenki czy cukierniki odżyją mając nowych klientów. Z drugiej strony, osoby często do tej pory wykluczone z życia społecznego znajdą się bliżej młodego pokolenia. Korzyść zatem będzie podwójna. Trzeba przyznać, że to bardzo ciekawy pomysł.

Jak więc widać, w Alfeld myślą nie tylko o dniu dzisiejszym, ale także o tym, jak pogodzić przeszłość z przyszłością. Ważne są również kontakty pomiędzy mieszkańcami a organizacjami, zarówno ze strony niemieckiej, jak i polskiej. Tym razem wielogodzinne rozmowy prowadzone były przez burmistrza Bernda Beushausena oraz Witolda Szczudłowskiego, a także Karstena Riemanna (honorowy przewodniczący Stowarzyszenia VSK), Thomasa Dahmsa i Herberta Zinglera. W rozmowach tych podkreślano walory turystyczne regionu karkonoskiego i jego atrakcyjności mając na względzie nowoczesną infrastrukturę. Brano także pod

uwagę chłonność rynku i jego zróżnicowanie polegające na dostępności dla klientów o różnej zamożności, z zachowaniem wysokiego jej poziomu. Ostatnio widać, jak bardzo zmienia się model turystyki. Oprócz tzw. turystyki sentymentalnej pojawiają się grupy turystów mających wyraźnie określone cele i wymagania. Są to np. narciarze, ale także osoby zainteresowane walorami przyrodniczymi, zabytkami czy po prostu chcące dobrze odpocząć w miłych warunkach. Oczywiście mają one do dyspozycji wiele obiektów powstałych w ostatnich latach, które spełniają coraz wyższe wymagania. Podniesienie standardów usług przy jednoczesnym zróżnicowaniu cen pozwala na przyjmowanie turystów, którzy chcą wybierać zarówno w jakości oferowanych usług, jak i w ofercie bytowej. Nie powoduje to zatem wykluczenia osób dysponujących mniejszymi środkami finansowymi. Jednym słowem, obecna oferta turystyczna kierowana jest do wszystkich. A warto wiedzieć, że

atuty naszego regionu to: przepiękne krajobrazy, góry, pałace i ogrody, szybko rozbudowująca się i modernizująca baza turystyczna na światowym poziomie, stale rozwijający się rynek usług okołoturystycznych, usługi zdrowotne i prozdrowotne.

Jeśli chodzi o naszą stronę, to znajdujemy się w okresie przejściowym. Do tej pory uczyliśmy się, jak korzystać z funduszy unijnych, a teraz korzystamy z nich. Doszliśmy do punktu, w którym (patrząc na współpracę z naszymi partnerami), od okresu pozyskiwania przechodzimy powoli do momentu, kiedy my także możemy coś wnosić.

Krzysztof Tęcza



Pożegnanie siedemdziesiątki

„Pożegnanie siedemdziesiątki” to nie tytuł benefisu kończącej karierę spadającą gwiazdy estrady, tylko opisane zbioru doświadczeń turysty, który z różnych powodów, stopniowo redukuje zawartość i wielkość plecaka.

Wariant na „półciężko”. Jako że idzie się do schroniska, tam nocuje i wędruje do następnego, trzeba zabrać trochę więcej rzeczy. Tu też można wyodrębnić podział na „wygodnych” i „samodzielnych”. Ci pierwsi do sposobu „na lekko” dorzucają ubiór nocny i przybory toaletowe poza standardowym mydłem, pastą i szczoteczką do zębów, zaś ci drudzy jeszcze śpiwór, własne jedzenie, a nawet przybory do sporządzenia posiłku. To fragment odcinka poradnika pt. „Technologia wędrowania”. Kiedy go pisałem, miałem niewiele doświadczenia w takim sposobie pakowania się na górską wędrowkę. Uprawiałem typową turystykę wędrowną z pełnym wyposażeniem. Teraz wiem więcej na ten temat. Nie bez przyczyny wspomniałem „siedemdziesiątkę”, czyli plecak o pojemności ca 65–75 l. Po kilku ponadtygodniowych (8–14 dni) wypadach w góry wiem, że moje niegdysiejsze, częściowo teoretyczne, wywody sprawdzają się. Rok temu, kiedy klubowi znajomi zobaczyli mój 40-litrowy plecak, nie wierzyli, że można się spakować w coś tak niewielkiego. Towarzystwo miało plecaki o wielkości 65–75 l, typowej w warunkach polskich gór, na beskidzkiej jesiennej wyprawie. Później udało mi się namówić moją rodzinę na użycie plecaków 45–50 l zamiast „wyprawowych” 65–75 l. Udało się i jeszcze był luz. „Czterdziestkę” miałem na kilkudniowym narciarskim wypadzie w Izery i na kolejnym wyjeździe w Beskid Sądecki tej jesieni. Można powiedzieć, że nabierałem doświadczenia w doborze wyposażenia bez rezygnacji z higieny i wygody.

Użycie plecaka mniejszego niż wyprawowy wymusza pewne ograniczenia, ale też skłania do dość dokładnego zaplanowania trasy wędrowki. Podstawa to dobranie bazy noclegowej. Optymalna jest baza petetkowska, czyli schroniska. Sporą rolę gra termin wyprawy. Latem istnieje ryzyko spania „na glebie”, zwłaszcza w weekendy, w schroniskach cieszących się największą popularnością. Od razu mówię, że do tatrzańskich schronisk bez rezerwacji nie ma po co chodzić... Do bieszczadzskich też nie lepiej. Często jednak w środku tygodnia beskidzkie i sudeckie schroniska bywają pustawe. Sieć schronisk PTTK znakomicie uzupełniają chatki i bazy namiotowe PTTK (studenckie), prywatne schroniska i rozmaite kwatery, niekiedy pensjonaty. Tu jednak trzeba się wcześniej zorientować, co i jak działa. Wspomniane chatki i bazy to pewniaki, można tam iść „jak w dym”, przynajmniej takie są moje doświadczenia. Dobrą porą jest jesień, mniej więcej od połowy września do końca października. Można iść „po schroniskach” w ciemno.

Korzystanie z gościny schronisk pozwala na ograniczenie zawartości plecaka. Odpada prowiant tzw. obiadowy, wszak stołujemy się w schroniskowych bufetach oferujących naprawdę dobre (a często znakomite) wyżywienie (no, może



**Jedna „pięćdziesiątka” i dwie „czterdziestki”
na wielodniowej wędrowce**

poza przysłowiowymi ośmiorniczkami). Zwykle jada się śniadania i obiadowe kolacje, które nie powodują dużych strat w portfelu. Plecak staje się lżejszy o kuchenkę i paliwo, mezażki i inne naczynia, pojemnik z jedzeniem. To wcale nie mała – około 2–3 kg i sporo miejsca, najmniej 1/4, a nawet 1/3 pojemności plecaka. Warto zabrać jakieś ulubione „gryzaki” (wafelki, czekolady, mix suszonych lub kandyzowanych owoców itp.), które nie zajmują dużo miejsca. W schroniskowych menu zwykle są warzywa, surówki – można sobie odpuścić zabieranie do plecaka jakichś pomidorów czy ogórków. Oszczędzamy i na wadze,



Dwie „czterdziestki” na szlaku

i na pojemności. Przedmiotem zabierającym sporo miejsca jest śpiwór. Zwykle „mieszka” w dolnej komorze wyprawowego plecaka. Jeśli zrezygnujemy z niego, zaoszczędzimy sporo miejsca. Wówczas konieczny jest dodatkowy wydatek 8–12 zł na schroniskową pościel. Można także, co polecam, zaopatrzyć się w jedwabny śpiworek ważący 10 dag i zajmujący tyle miejsca, co 2 pary skarpet. Nie jest tani, ale to inwestycja na wiele lat. W każdym schronisku czy bazie namiotowej są do dyspozycji turystów koce – w schroniskach po 2, a w bazach zwykle w dowolnej ilości. Wystarczy wsunąć się do takiego śpiwora, przykryć kocem (kocami) i... dobranoc. Co do śpiwora, to rozwiązaniem pośrednim jest mały, lekki śpiwór letni. Zajmuje mniej miejsca niż standardowy, a daje poczucie komfortu. W razie chłodu można się dodatkowo okryć schroniskowym kocem. Taki śpiwór jest też elementem wyposażenia zwiększającym bezpieczeństwo turysty. W razie jakiegóż sytuacji awaryjnej, np. konieczności czekania na pomoc, noclegu w terenie, użycie śpiwora w połączeniu z założeniem dodatkowej odzieży pozwala na w miarę bezpieczne i spokojne przetrwanie bez ryzyka wychłodzenia.

Jak łatwo zauważyć, mało piszę o tym, co zabrać do mniejszego plecaka, tylko czego nie brać. Wiadomo, że zapas bielizny, skarpet, apteczka, cieńszy i grubszy polar, kurtka, czapka i rękawiczki, czołówka, to przedmioty, które ZAWSZE są na wyposażeniu turysty.

Warto się zastanowić, czy mimo większych wydatków podczas wędrowki (głównie na jedzenie) nie zyskamy w ogólnym rozrachunku. Mniejszy i lżejszy plecak jest tego wart.

Powyższe uwagi dotyczą górskich wypraw w tzw. sezonie letnim, czyli od połowy kwietnia do końca października. Pozostałe części roku należy uważać za sezon zimowy, a wtedy wyposażenie turysty powinno odpowiadać całkiem innym warunkom pogodowym i terenowym.

Juliusz Wystouch



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl

Twórca polskiego regionalizmu

Od ponad 110 lat nie ma sensownego zaprzeczenia, że istotą polskiego krajoznawstwa jest całościowa wiedza o rodzinnym kraju i działanie, aby ją gromadzić, pomnażać i popularyzować. Od około 100 lat również nie ma sporu co do istoty regionalizmu. Słowa „region”, „regionalista”, „regionalizm” utożsamiają się z krajoznawstwem. Regionalizm i krajoznawstwo mają ten sam rodowód. Dodawane jest do nich pojęcie umiłowania kraju. Wszak nie sposób mieć stosunek emocjonalny, cokolwiek kochać, darzyć uczuciem, nie mając o tym pojęcia, nie znając tego.

Takie pojmowanie wiedzy o Polsce, choć wtedy nie istniała na mapie Europy, było podstawą ideową Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego od jego zarania w 1906 r. Tak uważali jego założyciele: Kazimierz Kulwiec i Aleksander Janowski. Nie wiedzieć czemu, rzadko obok nich wymieniany jest Aleksander Patkowski (1890–1942). A jeszcze rzadziej wspomina się o jego inicjatywie zwołania Pierwszego Polskiego Kongresu Krajoznawstwa w Poznaniu w 1929 r. Dopiero w 2006 r. podczas VIII Kongresu Regionalnych Towarzystw Kultury wymieniono Stefana Żeromskiego, Władysława Orkana i Aleksandra Patkowskiego, jako wybitnych współtwórców polskiego regionalizmu. To oni sformułowali zasady, programy i wdrazali idee nowoczesnego regionalizmu.

O Patkovskim można mówić, że od dziecka do wieku dojrzałego był krajoznawcą. Jego działalność publiczna jest świetnym przykładem wcielania w życie głównej zasady krajoznawczej: „Poznaj swój kraj”. Zamieniane używane są pojęcia: kraj ojczysty, macierz, rodzime okolice, swojszczyzna, mała ojczyzna. Aleksander Patkowski pochodził z Ożarowa opodal Sandomierza. Z wykształcenia był polonistą i anglistą, studiował we Lwowie i Krakowie w latach 1908–1913. Badał dzieje starożytnego Sandomierza i pracował w stworzonym przez siebie miejskim gimnazjum, a w 1922 r. zorganizował w nim pierwszy kurs krajoznawczy dla nauczycieli. Pomysł na kształcenie krajoznawców i uświadamianie znaczenia rodzimych okolic rozwinął się jako Powszechny Uniwersytet Regionalny. Rok potem, w Warszawie Patkowski został dyrektorem Towarzystwa Urządzeń Szkolnych i Laboratoryjnych, a następnie radcą Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Stad już było blisko do Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego (został wiceprezesem jego Rady Głównej i redaktorem „Ziemi”).

A zaczynał jako 15-latek z kolegami gimnazjalnymi – poprowadził pieszą wycieczkę do Kielc, Krakowa i na Podhale. W 1922 r. zorganizował dla nauczycieli kurs „Ziemi, człowiekowi i pracy w Sandomierskiem”. W 1926 r. ogłosił „Program regionalizmu polskiego” i ułożył wydaną w 5 tomach „Bibliotekę regionalną”. Ale nie był absolutnie pierwszym twórcą regionalizmu. Miał znakomitych poprzedników – praktyków w tej dziedzinie (choć nie używali oni terminu „regionalizm”, nie znali także pojęcia „małych ojczyzn”). W praktyce regionalisty i pisarza poprzedzał Patkowskiego choćby Oskar Kolberg (wszak uprawiał tę dziedzinę wiele lat w całym kraju), Seweryn Goszczyński („odkrywał” Podhale – „Dziennik podróży do Tatrów”), Zygmunt Gloger (na długo przed objęciem funkcji prezesa Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego) oraz „Wielki Wyrupiarz”, czyli praktyk krajoznawstwa i turystyki Mieczysław Orłowicz.



Do dziś aktualna – wśród ponad 300 publikacji Patkowskiego – jest jego monografia krajoznawcza „Sandomierskie. Góry Świętokrzyskie” i „Pamiętnik Świętokrzyski” wydany przez Sekcję Regionalistyczną Związku Nauczycielstwa Polskiego. Znajdziemy tam szkic historii regionu, opis Gór Świętokrzyskich i ich szaty roślinnej oraz charakterystykę etnograficzną regionów kieleckiego i radomskiego. W latach 1925–1933 A. Patkowski odbywał podróże do Włoch, Austrii, Czechosłowacji, Francji, Holandii, Anglii i Niemiec. Ich plon wplótł do pierwszej tego rodzaju analizy „Ruch regionalistyczny w Europie” (1934). Swoją działalność i regionalizm opisał tak: *[...] obejmuje całokształt zagadnień życia państwowego [...] przenikać winien najszerze warstwy społeczeństwa, w podstawowe dziedziny szkolnej pracy wychowawczej[...]*. W 1921 r. z jego inicjatywy powstaje pierwsze w byłym zaborze rosyjskim Młodzieżowe Koło Krajoznawcze, a jego patronem zostaje Aleksander Janowski, z którym Patkowski współpracował i którego podziwiał jako wybitnego działacza Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

„Mała ojczyzna” Patkowskiego to miejsce urodzenia – Ożarów, opodal Opatowa na Kielecczyźnie i Sandomierz – pole rozkwitu jego działalności społecznej, zwłaszcza pedagogicznej. Region swojski poznawał poprzez wycieczki krajoznawcze. Gromadził bogate zbiory etnograficzne. Podczas studiów publikował w prasie warszawskiej, krakowskiej i lwowskiej, był też amatorskim aktorem we Lwowie i w Sandomierzu. Po wybuchu I wojny światowej wstąpił do Legionów, ale żołnierzem – z powodu złego stanu zdrowia – był krótko. W Sandomierzu stworzył Koło Sandomierzan z udziałem absolwentów miejscowych szkół, Zrzeszenie Nauczycielstwa Szkół Początkowych i wykładał wiedzę o Polsce na Wyższych Kursach Nauczycielskich. Aktywność w tej dziedzinie zaprowadziła Patkowskiego na stanowisko radcy w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie w latach 1928–1939, gdzie założył też koło, na wzór sandomierskiego.

Kolejnym krokiem PTK na rzecz ochrony Gór Świętokrzyskich było utworzenie w 1918 r. Komisji Ochrony Zabytków Przyrody, aby działać na rzecz m.in. ochrony Puszczy Jodłowej. W 1926 r. podczas zjazdu Sekcji Powszechnych Uniwersytetów Regionalnych Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych, powołano Komitet Obrony Puszczy Jodłowej, nad którym w 1930 r. honorowy patronat objął prezydent RP Ignacy Mościcki. Starania Patkowskiego o ochronę przyrody i krajobrazu Gór Świętokrzyskich czy powszechnie znane dzieło Stefana Żeromskiego „Puszcza Jodłowa”, choć miały ogromne powodzenie społeczne, nie wpłynęły skutecznie na ochronę przyrody ani krajobrazu Gór Świętokrzyskich. Warto wspomnieć, że pierwszy rezerwat powstał w 1921 r. na Górze Chełmowej, kolejne na Łysicy i Łysej Górze – w 1924 r., a w 1933 r. na Miejskiej Górze opodal Bodzentyna. Świętokrzyski Park Narodowy utworzono dopiero w 1950 r.

Patkowski głosił konieczność wiązania w nauczaniu, publikacjach i rozmaitych imprezach wiedzy z geografii, przyrody, etnografii, kultury, sztuki, a także gospodarki, czyli elementarza krajoznawczego i regionalistycznego. Jednym ze szczytowych osiągnięć publicystycznych i literatury regionalistycznej autorstwa A. Patkowskiego był wspomniany już, ważny po dzień dzisiejszy, „Pamiętnik Świętokrzyski. Rok 1930” (wydany rok później w Kielcach). Do ważnych jego publikacji należy też wymieniana wcześniej książka „Sandomierskie. Góry Świętokrzyskie” (1938) opatrzona wstępem sławnego współtwórcy Gdyni i Centralnego Okręgu Przemysłowego, wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego. Była ona jedną z publikacji krajoznawczych w serii wydawniczej „Cuda Polski”.

W życiu Patkowskiego ważnym wydarzeniem było zawarte w lipcu 1922 r., uświęcone ślubem w Zakopanem, małżeństwo z Zofią Barabasz, córką sławnego Stanisława Barabasza, jednego z pierwszych polskich narciarzy (od 1888 r.), wytwórcy nart, nauczyciela i dyrektora Szkoły Snycerskiej (Przemysłu Drzewnego) w Zakopanem, później noszącą imię Kenara.

Współpraca ze Stefanem Żeromskim zawiodła Patkowskiego do Warszawy. W latach 1934–1939 był ważnym autorem i redaktorem organu PTK „Ziemia”, wspomagał jej finansowanie i wydawanie ze stanowiska ministerialnego. W Warszawie od 1923 r. pracował w Wydziale Oświaty w Związku Nauczycielstwa Polskiego. W latach 1928–1939 był radcą i kierownikiem biblioteki w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W tym czasie wszedł w skład Rady Głównej PTK i był jego wiceprezesem. W latach 1922–1939 zorganizował 42 wielodniowe i długodystansowe wycieczki krajoznawcze – szkolne, rodzinne, z udziałem naukowców. Był odznaczony m.in. Złotym Krzyżem Zasługi oraz Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury (1935).

Po latach wypada docenić, że Patkowski był jednym z ważniejszych ideologów krajoznawstwa w swoim czasie, autorem ponad 300 publikacji programowych, i współpracownikiem wielu wybitnych działaczy krajoznawczych, jak Janowski, Orłowicz, Kulwieć, Maciesza, Thugutt, Słomiński, Bułhak, Massalski, Wisznicki. Twierdził, że *[...] krajoznawstwo to poznawanie, to ruch społeczny. [...] W regionalizmie [w] kierunku rozwoju krajoznawstwa mieszczą się emocjonalne, intelektualne i praktyczne, społeczne wartości. Działalność PTK od swego zarania miała na celu wychowanie patriotyczne, szerzenie wiedzy o kraju pod zaborami i pobudzanie tożsamości narodowej Polaków.*

Tak też było w Sandomierzu. Praca Sandomierskiego Oddziału PTK skupiała się na edukacji krajoznawczej. Dzięki regionalistom powstał Powszechny Uniwersytet Regionalny, prowadzono badania archeologiczne i powstało Muzeum Ziemi Sandomierskiej PTK w 1921 r. Członkowie PTK należeli do najaktywniejszych obywateli uczestnicząc we wszystkich formach działań społecznych w Sandomierzu i w regionie. Obecnie Sandomierski Oddział PTTK nosi imię tego wybitnego krajoznawcy i sandomierskiego patrioty.

Patkowskiemu zawdzięczamy odnowienie w 1918 r. założonego w 1910 r. sandomierskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, a także pionierskie starania o utworzenie w Górach Świętokrzyskich Parku Narodowego im. Stefana Żeromskiego, a wcześniej – Komitetu Ochrony Puszczy Jodłowej. W historii Świętokrzyskiego Parku Narodowego, który utworzono wiosną 1950 r., dopiero po 60 latach rozmaitych wysiłków najwybitniejszych polskich przyrodników (m.in. Jana Grochmalickiego, Władysława Szafera, Mariana Raciborskiego) i krajoznawców (np. Tadeusza Kołodziejczyka, Edmunda Massalskiego), zapisano datę 1909 r. Wtedy Polskie Towarzystwo Krajoznawcze zajęło się badaniami osobliwości przyrody tej krainy. Wiadomo, że w 1910 r. we wsi Święta Katarzyna powstało w prywatnym chłopskim domu pierwsze schronisko turystyczne.

Wierność faktom nakazuje uznać Patkowskiego za inicjatora Kongresu Krajoznawczego w Poznaniu. W dniu obchodów 20-lecia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego w grudniu 1926 r. sumował dorobek Towarzystwa, we wrześniu 1927 r. Rada Główna PTK uchwaliła wniosek o zorganizowaniu Kongresu, a w grudniowym numerze „Ziemi” z 1928 r. Patkowski opublikował życzenie, aby był to [...] *zjazd wszystkich miłośników krajoznawstwa, badaczy naukowych i laików*. W składzie jego komitetu honorowego byli najwybitniejsi ówczesni działacze, m.in. Aleksander Janowski, Bernard Chrzanowski, Walery Goetel, Kazimierz Kulwiec, ks. Stanisław Kozierowski, Władysław Massalski, Eugeniusz Romer, Seweryn Udziela, Stanisław Thugutt. W komitecie organizacyjnym znaleźli się najwybitniejsi ówczesni działacze: Regina Danysz-Fleszarowa, Mieczysław Orłowicz, Stanisław Lenartowicz, Zygmunt Słomiński. Patkowski był sekretarzem generalnym Kongresu.

Kilkadziesiąt problemów referowali w 6 sekcjach roboczych m.in. Aleksander Janowski, Aleksander Maciesza z Płockiego Towarzystwa Naukowego, Mieczysław Limanowski, rektor Uniwersytetu w Wilnie. Uchwalono wówczas opracowanie i wydanie „Słownika Geograficznego Ziemi Polskich”. Patkowski był jego sekretarzem i wystąpił jako referent problemu „Istota krajoznawstwa”. Niemal każdy referent podkreślał znaczenie krajoznawstwa i regionalizmu w wychowaniu młodzieży i dorosłych, a także w wojsku i harcerstwie. Kongresowi towarzyszył Drugi Narodowy Zlot ZHP (14–23 lipca 1929 r.) potwierdzając ważność wychowania państwowego i patriotycznego młodzieży. Postulowano także – rozwijając propozycje Orłowicza z 1919 r. – aby w każdym powiecie był urzędnik odpowiedzialny za rozwijanie turystyki i popularyzację krajoznawstwa.

Niestety, w latach powojennych idee Aleksandra Patkowskiego, inicjatywy, dokonania, walory treści publikacji krajoznawczych poszły w zapomnienie. Nawet nie ma o nim wzmianki w materiałach jubileuszowych 60-lecia Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Większa publikacja o dokonaniach Patkowskiego ukazała się w 2015 r. jako plon sympozjum z 13 grudnia 2013 r. zorganizowanego przez Sandomierski Oddział PTTK im. Aleksandra Patkowskiego i Oddział Polskiego Towarzystwa Historycznego w Sandomierzu.

W okresie okupacji Patkowski uczył na tajnych kompletach, układał tablice synchroniczne do nauki historii, tłumaczył na język polski utwory z literatury angielskiej. Mimo ostrzeżeń nie opuścił Warszawy. 12 stycznia 1941 r. został aresztowany i po krótkim pobycie na Pawiaku wywieziony do obozu koncentracyjnego Auschwitz, gdzie zginął 22 marca 1942 r. W jednym z listów napisał do żony: *Mogily mojej nie znajdziesz [...] duchem jestem z Wami i z każdą cząstką Ziemi Sandomierskiej*.

A więc minęło 75 lat od Jego śmierci. Wśród tysięcy ofiar nazizmu było wielu anonimowych i znanych krajoznawców. Znaczna większość z nich pozostaje nadal nieznaną, po prostu zapomniana, a nieliczne dowody pamięci o ich dokonaniach i pomnożeniu polskiej kultury trwają często tylko we wspomnieniach najbliższych lub w okolicznościowych tzw. upamiętnieniach, jak wymienione poniżej.

Oto w wielu świętokrzyskich miastach są ulice Aleksandra Patkowskiego, m.in. w Kielcach, Sandomierzu, jego rodzinnym Ożarowie, Opatowie, a także w Warszawie – boczna od Alei Wilanowskiej w osiedlu „Arbuzowa” (dzielnica Mokotów, na Stegnach, nad Potokiem Służewskim). Po II wojnie światowej Oddział PTTK w Sandomierzu uczcił pamięć rodaka, wybitnego regionalisty i pedagoga wmurowaniem pamiątkowej tablicy na frontowej ścianie dawnego Domu Turysty PTTK, obecnie Obiektu Noclegowego „Turysta”. Muzeum Okręgowe w Sandomierzu przyznaje Nagrodę im. Aleksandra Patkowskiego, która ma na celu inspirowanie i zachętę do kontynuowania działań wzorowanych na dorobku i osiągnięciach wybitnego regionalisty, a tym samym przyczynienie się do wyzwolenia aktywnego stosunku wobec własnego środowiska, rozwijania badań z zakresu przeszłości i kultury regionu, utrwalania odrębności lokalnych oraz popularyzacji tzw. małych ojczyzn.

Tomasz Kowalik

Klasyka krajoznawstwa – pocztówki

Od wieków ludzie porozumiewali się za pomocą listów, mówionych i pisanych, w razie specjalnej potrzeby – szyfrowanych dla utajenia treści. Korespondencja zatem była jawna i tajna, ciekawa i nudna. Wiadomości przekazywali pośrednicy w rozmaitych formach listów (miłosnych, handlowych, szpiegowskich, dyplomatycznych). Pośrednikami byli – już w starożytnej Persji i na terytorium wielkiego Cesarstwa Rzymskiego – kurierzy, tzw. umyślni, czyli gońcy i posłańcy. Przemieszczali się pieszo i konno, w systemie „koni rozstawnych” i faktorii, z czasem nabrali znaczenia jako emisariusze, posłowie, dyplomaci, ministrowie w misjach specjalnych. Dla uniknięcia wszelkiej kontroli używali także gołębi pocztowych.

W miarę rozwoju komunikacji, przesyłki wędrowały pociągiem (w wagonie pocztowym) i samolotem, telegraficznie, ostatnio telefaksem, samochodami firm kurierskich. Dziś pocztę i listonosza zastępuje telefon komórkowy, znany dzieciom i dorosłym, albo poczta elektroniczna, internetowa, zwana powszechnie e-mailem, czyli swojsko e-listem.

Gdy w XV w. poczta zaczęła działać w Polsce, w miarę jak obywatele nabierali umiejętności pisania, epistolografia stała się powszechna. Od pierwszej połowy XIX w. własną pocztą szczycił się Uniwersytet Jagielloński. Poczta zwana królewską miała specjalne przywileje, a król Zygmunt III Waza zlecił wykonywanie usług pocztowych włoskiej rodzinie Taxisów. Doręczali oni przesyłki z Krakowa do Warszawy (i odwrotnie, po przeniesieniu stolicy kraju), a także na większe odległości np. do Wilna, Wenecji czy np. z Wrocławia do portowego Gdańska. Własne poczty miał Kraków, Tarnów, Rzeszów, Lwów, Zamość, Lublin, Warszawa, Wrocław, Toruń, Poznań, Przemyśl. Obsługiwano ogromne terytorium Rosji, m.in. polskich zesłańców na Syberii, a zezwolenie na pisanie listów było carskim przywilejem, czyli złagodzeniem kary.

Była też „ekstrapoczta”, czyli przewóz ludzi i przesyłek dyliżansami pocztowymi, początkowo, pod koniec XVIII w., na trasie Gdańsk – Toruń – Puławy oraz Warszawa – Poznań – Pniewy i dalej do Niemiec. Od 1838 r. z Warszawy do Krakowa jeździły 12-osobowe *steinkellerki*, tj. karety pocztowe firmy kurierskiej Piotra Steinkellera – zamożnego przemysłowca, który miał duże zasługi dla rozwoju komunikacji w Polsce. Od 1845 r. przesyłki woziła Kolej Żelazna Warszawsko-Wiedeńska, najpierw tylko do Grodziska Mazowieckiego, a potem przez Częstochowę na Śląsk, do Wiednia i Krakowa (wówczas pod zaborem austriackim). Nasza poczta, jako firma Polska Poczta, Telegraf i Telefon, zaczęła działać w 1928 r. Listonosz był mile widzianym urzędnikiem państwowym, choć czasem przynosił niemiłe wiadomości.

W polskiej dramatycznej historii niezwykle rolę odegrała Poczta Polska w Wolnym Mieście Gdańsku, jako bohatersko broniona pozycja we wrześniu 1939 r. Została brutalnie zniszczona, a jej załoga w większości rozstrzelana. Znaczącą rolę odegrała Poczta Polowa przy Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie (która doręczała przesyłki żołnierzom polskich jednostek, jeńcom wojennym w Niemczech) oraz Poczta Harcerska w ogarniętej powstaniem Warszawie. Nieletni listonosze w krótkich spodenkach, harcerze „Zawiszacy”, przemykali między barykadami, dzielnicami miasta, piwnicami i kanałami. Od 6 sierpnia 1944 r. PH miała 4 oddziały pocztowe, 12 skrzynek, bezpłatne własne znaczki pocztowe i około 180 listonoszy, którzy roznosili dziennie do 5 tys. przesyłek znakowanych stemplami „Powstańcza Poczta Harcerska” i „Poczta Polowa”.

Ale na osobną uwagę zasługuje początkowo niezwykle forma przesyłania korespondencji. Była nią kartka pocztowa, czyli mały odkryty list, bez pieczęci lakowych i kopert, napisany najpierw po obydwu stronach niewielkiej kartki papieru, a z czasem na trwalszym kartoniku. W 1865 r. „odkryta korespondencja” i „druk otwarty” były dopuszczone do obiegu pocztowego w zaborze pruskim. Od 1869 r. używanie kartek pocztowych stało się szybko bardzo powszechne w krajach rozległego Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Kartki nazywane „widokami”, wkrótce „krajowidokami”, „pocztowymi kartami ozdobnymi”, zaczęły służyć korespondowaniu w zaborze pruskim w 1891 r., a w rosyjskim – w 1892 r. Kartki pocztowe zrobiły wielką karierę w czasach gwałtownej I wojny światowej w latach 1914–1918. Miliony żołnierzy wielu krajów w ten sposób dawało znaki życia z rozległych frontów, obozów jenieckich i szpitali.

Nie trzeba było długo czekać na powszechne używanie pocztówek. Taką nazwę wymyślił w 1900 r. Henryk Sienkiewicz, który wygrał konkurs na nazwanie „jawnych listów” ogłoszony przy okazji I Krajowej Wystawy Pocztówek w Warszawie. Pisanie „odkrytek” z postojów podczas podróży, z pobytu „u wód”, czyli w modnych uzdrowiskach i kąpieliskach, stało się ważną częścią obyczajów turystycznych przed 130 laty. I niebawem rozwinęła się filokartystyka, czyli zbieractwo pocztówek. Wielu kolekcjonerów, zbierając je, zachowało wizerunki obiektów i krajobrazów, które już dawno nie istnieją. Od 1905 r. obowiązuje znormalizowana kartka, zapisywana po jednej stronie, z adresem. Był czas, kiedy kartką pocztową był kawałek własnoręcznie malowanego kartonika, czy wręcz część jakiegoś kolorowego opakowania towaru.



Od 1906 r. czyli już ponad 110 lat, jedną z najbardziej zasłużonych organizacji społecznych w popularyzowaniu seryjnych kartek widokówek-pocztówek, było Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Wydawała je Centrala PTK w Warszawie i kilkanaście oddziałów terenowych, m.in. w Suwałkach, Piotrkowie Trybunalskim, Krakowie, Włocławku, Wilnie, Lwowie. W 1907 r. widokówki zaczęło publikować bratnie Towarzystwo Tatrzańskie (od 1920 r. Polskie Towarzystwo Tatrzańskie). Do 1915 r. PTK wydało 35 serii pocztówek w ponad 270 tematach o łącznym nakładzie 835 tys. egzemplarzy. Po połączeniu PTK i PTT w 1950 r. w Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze liczba tematów, serii i nakłady znacznie wzrosły, bowiem miliony pocztówek ślali bliskim wczasowiczom i turyści.

Dziś nieliczni badacze dziejów polskiej pocztówki z trudem doliczają się nakładów, tematów, sztuk pocztówek wypełniających codziennie skrzynki pocztowe i torby listonoszy. Jednym z nich był krajoznawca, fotografik, kolekcjoner kart pocztowych Adam Czarnowski (1918–2010). Kolekcja pocztówek krajoznawczych im. Adama Czarnowskiego znajduje się w zbiorach Biblioteki Narodowej oraz w Centrum Fotografii Krajoznawczej PTTK w Łodzi. Jego zasługą jest udokumentowanie wydania 1436 tematów 85 autorów pocztówek krajoznawczych przez Polskie Towarzystwo Krajoznawcze do końca 1950 r. Pierwsza pocztówka PTK z 1907 r. na stronie ozdobnej ma stylizowaną parzenicę w wianuszku motywów roślinnych (całość przypomina tradycyjny malunek na kaszubskich wyrobach ceramicznych z gliny). Jej autorem był Mikołaj Wisznicki, wybitny działacz krajoznawczy, grafik, malarz, fotograf, ilustrator czasopism, z zawodu pułkownik kawalerii.

Wypada dodać, że pod koniec życia Adam Czarnowski – syn Adama Schwarza, profesora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego – wrócił do rodzowego nazwiska Adam Schwarz. Pośmiertne wspomnienie „Pożegnanie krajoznawcy” zamieściliśmy w „Na Szlaku” (nr e-1 (247) z 2011 r.

Ważnym wydarzeniem w dziejach kolekcjonerstwa pocztówek krajoznawczych w połowie 2017 r. było wydanie nakładem Tatrzańskiego Parku Narodowego opracowywanej od wielu lat za życia Adama Czarnowskiego fundamentalnej książki „O tatrzańskich pocztówkach”, a 30 listopada 2017 r. dzieło to wyróżniono spośród 180 publikacji Nagrodą Klio w kategorii edytorskiej podczas XXVI Targów Książki Historycznej.

Wręczenie nagród odbyło się w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego 30 listopada 2017 r. Nagroda Klio, zwana „Noblem dla historyków”, jest przyznawana od 1995 za wybitny wkład w badania historyczne. Oceniane są i nagradzane nie tylko walory poznawcze książek, ale też ich szata graficzna i oryginalność ujęcia tematu. Trudno powstrzymać się od sugestii, aby to podstawowe – jak dotąd – wydawnictwo znalazło się w zbiorach bibliotek krajoznawczych, nie tylko nastawionych na gromadzenie publikacji o tematyce tatrzańskiej.

Tomasz Kowalik



Szczęśliwego Nowego Roku życzy Redakcja

NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki"
przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Juliusz Wystouch**



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca
i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów,
przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu
i reklam wewnątrz numerów
na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931